ŁOWIEC POLSKI



Wilk na trybie. *fot. Wł. Puchalski.*

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 1 (950) **Styczeń — 1948 r.** **Cena zł 50**

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 1 (950) 1 9 4 8 Styczeń



Zimno!! — 20° C. *. Wł. Puchalski.*

ZBIGNIEW KOWALSKI

Z KAMERĄ FILMOWĄ W BIAŁOWIEŻY

Projekt realizacji filmu łowiecko-przyrodniczego powstał prawie jednocześnie w gronie członków Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego i Instytutu Filmowego w Krakowie.

Choć znaczenie propagandowe filmu, jak również jego atrakcyjność nie tylko dla kraju, ale przede wszystkim dla zagranicy, były jasne i oczywiste, blisko pół roku trwały wstępne konferencje i korespondencja, uzgadnianie scenariusza, targi o subwencję oraz obsadę personalną. Dużo też czasu zajęło inspekcjonowanie terenów, gdzie film miałby być realizowany. Wreszcie dzięki ostatecznej akceptacji i wydatnemu poparciu przez Ministerstwo Leśnictwa oraz Dyrekcję Filmu Polskiego w Łodzi, została w końcu stycznia zakończona całość prac wstępnych.

To też 1 lutego wysłałem do reżysera filmu i kierownika produkcji Instytutu, inż. Puchalskiego, depeszę z zawiadomieniem, że Administracja Lasów Państwowych w Białowieży oczekuje dnia 6 lutego na przybycie ekipy.

Odpowiedź z Krakowa była krótka i lakoniczna:

„Przyjeżdżamy do Warszawy wg planu".

W drodze, 6 luty 1947 r.

Pierwsza zaspa daje nam znać o sobie koło Ostrowi. Chevroleta zlekka, łagodnie przyhamo-

wuje, czuć wyraźnie, jak karter — brzuch maszyny — trze się o zwały białego puchu. Druga zaspa za Zambrowem jest już poważniejsza, szersza i wyższa. Najprzód trzeba przerzucić bieg mocnego, stukonnego motoru, a potym chmura śnieżnego pyłu, prutego chłodnicą samochodu, zasłania na chwilę widok. Zarzuca nas raz i drugi.

Do Białegostoku dojeżdżamy jednak bez większych trudności. Dalej, niestety — drogi są nieprzetarte, komunikacja na szosach zamarła. Pekaesy nie kursują zupełnie. Ten ostatni argument jest zresztą jedynym, który przemawia za dalszą podróżą.

— Mieli, zdaje się, rację koledzy Humiński i Regulski, wybierając się do Białowieży drogą kolejową — mówi szef ekipy i reżyser Puchalski.

— I wróżąc nam utknięcie w śniegach — dodaje operator, kapitan Miszewski.

— No, śmieje się, kto się śmieje ostatni — kończy asystent Tomaszkiewicz.

Jeszcze krótka rozmowa i decydujemy się przepychać dalej.

Auto wyje teraz bezustannie na drugim i pierwszym biegu, tańcuje po szosie od burty do burty, grzęźnie, szarpie, rusza, to znów wypoczywa.

Do Bielska dobijamy już o zmroku. Mróz na noc bierze coraz większy. Jarzące się i migające gwiazdy wylegają na niebo nieprzeliczonymi stadami. Ledwo wschodzący, a już srebrzyście jasny księżyc dźwiga się coraz wyżej nad horyzont. Śnieg pod kołami samochodu chrzęści i pogwizduje nieprzyjemną melodię o szykującym się na jutro zimnie.

Mało uczęszczana droga Bielsk — Hajnówka zamieciona jest wiatrem i wyrównana z polami w białą, jednolitą płaszczyznę. Kierunku i miejsca szosy można się tylko domyślać z rzędu biegnących nad gościńcem słupów telegraficznych. Droga staje się coraz bardziej kopna, grząska jak bagno i przepaścista niczym saharyjski piasek.

Rżniemy się więc naprzód wolno, ciężko i bez nadziei na osiągnięcie choćby granic Puszczy. Wreszcie na czwartym kilometrze zatrzymują nas sanki.

— Dokąd jedziecie panowie? — pyta woźnica.

Do Białowieży.

— Nie ma mowy. Cztery samochody stoją zakopane po osie w najbliższym siole. Nie przejedziecie.

Wyskakujemy w głęboki do kolan śnieg i odbywamy krótką naradę. Rozmawiamy odwróceni plecami do wiatru, bowiem w gołym polu czuć dopiero, jak ostro i bezustannie dmie wicher i widać jak nad ziemią ciągnie nieprzerwana smuga gnanego podmuchem sypkiego, suchego śniegu. Księżyc oświetla zielonkawym światłem pustynny krajobraz. Napięte mrozem druty telegraficzne grają monotonnie denerwującą, jękliwą melodię.

— Wracamy — decyduje krótko Puchalski.

— Widzę już, jak sobie na nas użyją koledzy, jadący pociągiem.

— No cóż, mieli rację. Teraz grzeją się napewno w łóżkach.

W Bielsku odbywa się druga narada, decydujemy zostawić Chevroletę w miasteczku, a sami ruszać do Białowieży koleją.

Stary, jednoprzedziałowy wagon stukocze i podryguje na złączach szyn. Robi się powoli coraz cieplej. Senność ogarnia jadących.

Lecz ledwo oczy zaczęły się sklejać, a głowa opadać na piersi, już kołaczą zwrotnice, przesuwają się za oknami żółtawe, leniwe światła.

Czeremcha.

Ciężkie było i męczące wyładowywanie się z bagażem, cięższe jeszcze i bardziej męczące oczekiwanie w nieoświetlonej i dusznej poczekalni — baraku przez długie 4 godziny na dalsze połączenie kolejowe.

Przed samym wyjazdem niespodzianka. Spotykamy kolegów Humińskiego i Regulskiego, którzy jadą do Białowieży jako myśliwi gwiazdorzy i od 10-ciu godzin, zatrzymani zaspami na torach, czekają na pociąg do Hajnówki.

Obopólne zdziwienie, powitania i niedozwolony kieliszek czystej, wypity za dyktową ścianką i dyskretną kotarką w „gabinecie" bufetu stacyjnego.

— Widziałem już, jak dojechawszy autem na miejsce, używacie sobie na nas — mówi Humiński.

— A ja zazdrościłem szczerze, że grzejecie się już w łóżkach — dorzuca prezes Regulski.

Tym samym pytanie, czy lepiej jechać było — koleją, czy samochodem, pozostaje nierozstrzygnięte.

Kiedy znów w dobrze nagrzanym wagonie zaczęła nas ogarniać senność, słychać konduktora wołającego:

— Hajnułka!

Białowieża, 7 luty 1947 r.

Świt w Białowieży wita nas zapomnianą już, prawdziwie kresową zimą, jakby chcąc przypomnieć, że znajdujemy się w jedynym skrawku północno-wschodniego kraju, leżącym na terenie Polski.

Niebo pełne jest nieprawdopodobnie intensywnych i soczystych barw szafiru, czerwieni i seledynu, jak płótno mistrza puszczańskiego krajobrazu, Żukowskiego, drzewa robią wrażenie kruchych, lukrowanych pałeczek. Druty telefoniczne, oblodzone zamrozem, wiszą ciężko od słupa do słupa, grube i szare, podobne powrozom do wieszania bielizny. Dymy z kominów biją w niebo prostymi, jak strzelił, sinawymi pasmami.

Mróz musi być tęgi, gdyż mijani, śpieszący do tartaków robotnicy, biegną i przytupują, a śnieg zgrzyta i świszcze pod nogami, niczym torturowana na tokarni stalowa sztaba.

Brama wjazdowa rozwarta szeroko, fragment starego parku, sanie zatrzymują się przed „Domem Myśliwskim".

Lokujemy się w pięknie zawczasu przygotowanych i ozdobionych pachnącą świerczyną po-

kojach. Potym śniadanie i raport łowczego Wagnera:

— Mamy dwa wilki w sznurach. Czy decydują panowie jechać pomimo nieprzespanej nocy?

— Tak — pada jednomyślnie decyzja.

Łowczy rozwija mapę i orientuje mnie w pokratkowanym planiku Puszczy.

— Wilki są tu w oddziale 421.

— W Nadleśnictwie Leśna. Będzie z 10 kilometrów drogi.

— Tak.

Pamiętam dobrze ten mroczny, przepastny oddział świerkowego lasu, o dwóchsetletnim drzewostanie, ze skrytym pośrodku tajemniczym łoziastym bagnem, pełen nieprzebytych wywałów, wiatrołomów i odrostów, wstrzymujących wzrok i nogi człowieka przed zapuszczeniem się w głąb kniei.



Żubr pozuje.

Dziś ziemia, okryta białym obrusem śniegu, wyrównana pod drzewami w jednolitą płaszczyznę, jest zdawałoby się łatwo dostępną, szczególnie, że i jasne słońce rozjaśnia wnętrze lasu i otwiera daleką perspektywę do strzału.

Milczkiem dochodzimy do chorągiewek, cicho wydaje łowczy zarządzenia.

Wschodni bok flader zostaje zdjęty, osacznicy zachodzą; przystępujemy do pierwszej walnej rozprawy filmowej z najchytrzejszym i mądrym zwierzem naszych kniei. Wilk nie był jeszcze w Polsce schwycony na taśmę ani razu.

Wiatr jest dobry, waga zwierza wiedzie w naszą stronę, tropy wilcze wskazują, że drapieżniki w nocy podchodziły pod same chorągiewki. Należy więc zaczynać.

Pierwszy przy sznurach zostaje Humiński, potym kapitan Miszewski z asystentem i Arriflexem. Następnie Regulski i Bochenek z Morigrafem. Po przeciwległej ścianie sznurów łowczy wskazuje stanowiska Puchalskiemu z ręczną kamerą Eymo, a dalej mnie.

Teraz tylko bez ruchu czekać trzeba na trąbkę. O, wzdycha już metalicznym pobrzękiem głęboko w kniei. Czuj duch, najdalej za kwadrans winien wytknąć wilk na linię.

Głowa chodzi krótkimi zwrotami na prawo i lewo, tam i spowrotem. Ciało zamiera w absolutnym bezruchu, choć mróz ściska coraz mocniej i mocniej.

Nagle szmerem podobnym do startującego samochodu odzywa się Arriflex.

Wilk najwidoczniej idzie na linię.

Szmer trwa przez dziesięć sekund i urywa się nagle.

— Greifer mi nie podaje — woła w stronę Puchalskiego operator zrazpaczonym głosem.

Macham ręką, żeby zamilkł, ale jest już za późno, kątem oka widzę wilka, nurkującego w gęstwinę świerkową.

Tracę po tym incydencie nadzieję na pokazanie się ponowne któregoś z drapieżników. Szczególnie, że nieopowiednio wyekwipowana na wielki mróz do Puszczy, poza okutanym w filce i futra Puchalskim, ekipa filmowa zaczyna na stanowiskach zabijać ręce i gęsto przytupywać, to znów rozcierać uszy i nosy.

Nic w tym zresztą dziwnego, gdyż obcisłe, eleganckie oficerskie buty, czy kapelusik z filuternie opuszczonym rondkiem, to naprawdę na 25° mrozu strój zgoła nieodpowiedni. To też nie należy dziwić się przemarzniętym na kość młodzieńcom, że wszelkimi sposobami chcieli się uchronić przed zamiénieniem się w sopel lodu.

Ponieważ zaistniała i druga nieprzewidziana przeszkoda, należało zdjęcia zakończyć. Mianowicie mróz uczynił taśmę filmową tak kruchą, że aparat po przepuszczeniu kilkunastu klatek stawał, a taśma pryskała niczym szkło.

Miot przepędziliśmy jeszcze trzy razy. Pomimo jednak zmiany stanowisk, jak również przecięcia ostępu przez pół — nie zdobyliśmy wilczej skóry. Wilki wystraszone zbyt wielkim ruchem w sznurach, przesadziły wreszcie chorągiewki i poszły światami.

8 luty 1947 r.

Pomimo pobudki, zapowiedzianej na godzinę 6-tą rano, strażnik łowiecki Szpakowicz budzi mnie o jasnym już dniu.

— Co pan decyduje robić? Mrozu mamy bowiem 34°.

— Hm. Naradzę się z kolegami. Zobaczymy.

Po krótkiej rozmowie, czterech wariatów: Dr. Michałowski, Puchalski, Humiński i ja, decyduje się jechać z psami na dziki.

Mistrz Puchalski obwija więc aparat w dwa koce i chowa go głęboko w siano, którym wymoszczone są sanki. Psy: Biełka, Kruczek i Gryf, trzęsące się z zimna, zjeżone, zakopują się w nogach obok kamery. Ruszamy.

Płozy pogwizdują wysokimi tonami, jak nieoliwone od lat oddrzwia. Słoneczny blask razi oczy aż do bólu. Śnieg iskrzy się i gra brylantowymii skrami. Niebo jest jasno błękitne, przejrzyste.

Mróz wciska się pod baranice, gryzie w policzki, zawiesza sople na wąsach łowczego i strażników. Brwi i rzęsy siwieją nam od mrozu, oddech zamienia się w ostre lodowe igiełki,. które

osiadają puchatą bielą na futrze podniesionych kołnierzy.

Tropienie przedstawia dzisiaj duże trudności, śnieg jest bowiem sypki i suchy, niczym żelazne opiłki, a poza tym, wędrujące za liściarką i żołędziami jelenie, mylą nasze oczy swoimi, wlokącymi się, podwójnymi niby narty śladami z odbiciem racic—kijków na samym szlaku, wyrżniętym przez ciągnące badyle — deski.

Wreszcie mamy jednak obcięte stado czarnego zwierza w niewielkim klinie sosnowego młodniaka.

Psy po krótkiej chwili dają głos. Puchalski rozwija błyskawicznie aparat, próbuje mechanizmu — krótki terkot, przeskakują dwie, trzy klatki. Koniec. Mróz zbyt wielki — aparat nie działa.

Rozpraszamy się we trzech po linii. Psy już głoszą — trzeba więc zapolować bez filmowania.

Ja mam najdalszą drogę, aż na wschodnią ścianę miotu. Pół idę, pół biegnę.

Psy głoszą coraz bliżej.

Ale czarny zwierz na tak silnym mrozie jest wyjątkowy czujny i ostry. Jeszcze gdzie mam do stanowiska, ze 200 metrów, a już wyjeżdża na wąski zrąb locha, za nią dwa warchlaki, znów większa sztuka, mniejsza i na końcu dwa grube, tak, bardzo grube dziki. Choć meta jest daleka, nakrywam przód przedostatniej sztuki błyszczącą muszką i strzelam.

Dzik, o dziwo, fika kozła i leży. Biegnę szybko na miejsce strzału, jeszcze jedno pociągnięcie cyngla — zdaje się niepotrzebne — bo zwierz już dochodzi.

Obliczam odległość: jest 245 kroków. Niestety, zabita sztuka to locha o wadze 119 kg.

Psy biegają, ale nie chcą gonić dalej za ruszonym stadem. Wciskają się znów, zjeżone, w siano na sankach i skowyczą z cicha, protestując przeciwko przysłowiowemu wyganianiu psa na taką podbiegunową pogodę.

Po powrocie okazuje się, że odmroziłem sobie palec. Wystarczyło na to kilkumilimetrowe pęknięcie szwu w grubej, łosiowej rękawiczce.

9 luty 1947 r.

Mróz nieco zelżał — termometr pokazuje tylko 27°. Za to śnieg wali jak z rękawa. Północny wiatr huczy opętańczo w drzewach parkowych i oblepia pnie od nawietrznej strony smugą śnieżnego lukru. Z dachów dymi zadymka, ślady przed domem zawiewa w mgnieniu oka. Gajowy, śpieszący w stronę werandy, raz po raz odwraca się i idzie tyłem skulony, z podniesionym wysoko kołnierzem.

Zaraz też jest i meldunek. Pięć wilków ofladrował strażnik Sawicki w 497 oddziale. Choć dmie i kurzy bez przerwy, trudno, trzeba jechać.

Na sankach, gdzie można twarz jeszcze schować w baranicę, i potym w czasie marszu do miotu, daję sobie jakoś radę z mrozem i palącym twarz wichrem.

Przy fladrach jednak, na stanowisku, które wypadło akurat na miejscu, gdzie gęsta drągowina świerkowa łączy się z 10-letnim młodnikiem, zupełnie nie jestem w stanie na wydmuchu wytrzymać. To też rozwieszam sobie kożuch między dwoma brzózkami i tak zabezpieczony ładuję dopiero broń i zaczynam oczekiwać.

Śnieżyca wali, wiatr hula i szumi, tłumiąc wszystkie inne odgłosy.

Nie wiadomo, czy miot się zaczął, nie wiadomo czy osacznicy ruszyli.

Nagły rzut oka w bok daje mi odpowiedź na uprzednią wątpliwość. Naganka napewno już przeszła z pół miotu, bowiem na wąziutkiej przecince stoi dzik. Dzik jest wysoki, zwalisty, o karasiowatym przodzie i spadzistym zadzie, olbrzymi jak niedźwiedź.

Powolutku dźwigam dryling do oka. Ale zwierz widzi mnie już od dawna. Patrzy i obserwuje każdy mój ruch. To też zanim zdążyłem tknąć spustu, pajedynek jak duch zjawiwszy się, jak duch znika bezszelestnie.

Strzał leci za nim przez drzewa i cisza, tylko wiatr potrząsa konarami świerków, jak przedtym.

Dwa strzały na lewo. Jeden, drugi szybko następujące po sobie. Obława dochodzi.

Na śladzie strzelanego odyńca ani kropli farby.

Tfu! Pudło.

Regulski za to ma zabitego dzika i to zabitego w chwili prawdziwej przygody. Dzik, oszczekiwany przez „Biełkę”, tak był już rozeźlony, że zobaczywszy myśliwego, na którego akurat ciałkający pies go wyprowadził, z miejsca człowieka zaszarżował. W gęstej świerczynie zwierz strzelany był przez Regulskiego tak blisko, że przewracając się po otrzymaniu w środek czoła kuli, zbił z nóg naszego prezesa.

Dzik ten, locha, ważył 117 kg.

Stojący opodal myśliwego operator najadł się porządnego strachu, gdyż poza atakującą lochą przewaliło między się nim, a myśliwym siedem innych grubych dzików, groźnie zjeżonych i sapiących w głębokim śniegu.

Czy jednak z tego ciekawego zdjęcia, w zadymkę, wyjdzie coś niecoś? raczej, niestety, wątpię. No, zobaczymy.

Wilki z miotu i sznurów jednak nie wyszły — więc co robić? Na powtórzenie pędzenia jest już późno. Trzeba wracać do Białowieży spowrotem.

Szczególnie, że śnieżyca wali już teraz tak, że świata Bożego nie widać, a wicher zamienił się w kanadyjskie tornado.

11 luty 1947 r.

Łowczy budzi mnie tym razem o szarym ledwo przedświcie. Nawpół śpiący siadam na łóżku.

— Mam nieprzyjemną nowinę.

— Cóż takiego, 40° mrozu?

— Nie — wszystkiego 18°, ale jeden z wozaków, Buszko, który poszedł wczoraj na ochotnika do naganki, przepadł.

— Czyż strażnicy po zakończeniu pędzenia nie zorientowali się w tym?

— Owszem, zorientowali. To też trąbili, strzelali, ogień palili na linii aż do 9-ej wieczór. Wszystko napróżno.

— Proszę zamówić sanki, jedziemy na poszukiwania.

— Sanki już są. Milicja też zawiadomiona.

Budzę kolegów.

Po 10-ciu minutach jesteśmy gotowi.

— Boję się, że Buszko już zamarzł — mówi na wyjezdnym Karol.

— A może poszedł torem do Czerlonki — uspakaja Regulski.

— Byle tylko nie zagranicę.

— Też historia!

Prędko po łyku herbaty i jazda. Wyruszamy w głuchym milczeniu.

— — — — — — — —

Na trzecim kilometrze w Puszczy, tuż przed Narewkowką Drogą, jadący obok woźnicy strażnik Wołkowicki zaczyna bacznie wypatrywać, a potym mówi spokojnie:

— Buszko wraca.

Po chwili otaczamy go wszyscy. Chłop, choć osiłek mocny i krępy i dobrze ubrany w brązowy kożuch oraz walonki, blady jest jak papier i trzęsie się z zimna. Broda dorosłego mężczyzny wygina się w podkówkę, jak u dziecka i drży.

— Co ty, zbłądził, Onufry?

— Zbłądził, ale bym trafił spowrotem pokręciwszy się, tylko, że wilcy napadli.

— Gdzie, w sznurach?

— W sznurach. Dwa. Tak ja musiał na świerku do rana przesiedzieć.

Broda trzęsie się opowiadającemu coraz mocniej, z pod drgającej nerwowo lewej powieki płynie wielka łza.

Buszkę odsyłamy niezwłocznie sankami do chaty. Dostaje Szpakowicza na towarzysza i „górala" na konieczną i jak najszybszą rozgrzewkę w najbliższej karczmie. Sami jedziemy sprawdzić prawdziwość opowiadania wozaka i potropić ewentualnie bezczelne, rozzuchwalone widać długoletnią wojną i trwającą do ostatnich chwil partyzantką szare drapieżniki.

— Bo to nie do uwierzenia, żeby wilk zaatakował człowieka w sznurach — mówi łowczy Wagner.

— Mnie też wydaje się to wykluczone.

Indiańskim sposobem prowadzeni przez Wołkowickiego, dochodzimy po tropach Buszki do miejsca, gdzie siedział on rzeczywiście na drzewie. Bo obłamywane gałązki i zdarta kora świadczą o tym wyraźnie.

Wyraźnie też, choć pod śnieżnym zapadem, widać tropy wilcze. Wilki chodziły w kółko, warowały w świerczkach, czekały.

Ślady mówią, że jeden wilk był ogromny.

Otropić się, niestety, nie dały. Ślady ich wywiodły nas aż pod pola Hajnówki.

12 luty 1947 r.

Znów zadymka. Mróz 21°. O filmowaniu ani marzyć nie można. Jak tak pójdzie dalej, to z przygotowanej przez pół roku imprezy gotowa zrobić się kompletna klapa.

Odmrożony palec dokucza coraz bardziej, puchnie i narywa.

12 luty 1947 r.

Zadymka jak wczoraj. Śniegu napadało już chyba około metra, nogi toną w białym puchu wyżej kolan. Konie rżną się w zaspach po brzuchy. Poza tym okiść zamienia las w niezdobytą fortecę, tak, że siedzimy znów w domu.

Stary gawędziarz Wagner, jeden chyba z ostatnich Mohikanów, który przeżył wyżej pięćdziesięciu lat w Puszczy jako myśliwy i łowczy, z prawdziwą swadą opowiada nam o swych przeżyciach i przygodach myśliwskich.



Lis.

Słuchamy jak urzeczeni, zapominając o dzisiejszym dniu i jakżeż zmieniającym się w naszych oczach świecie i życiu.

Opowiadania o łowach za carskich czasów z tysiącem szykan, fasonów i tytułów, brzmią niczym wieści z innej planety, wspomnienia z polowań dostojników hitlerowskiej „osi" mówią o przedziwnej naiwności i krótkowzroczności naszych sfer rządzących.

14 luty 1947 r.

Słońce, słońce! Od rana przepiękna zimowa pogoda. 16° mrozu bez krzyny wiatru. Niebo błękitne, czyste jak łza.

Na korytarzu gorączkowy ruch i bieganina. Asystenci wynoszą skrzynki z kamerami, a kapitan, probując mechanizmów, terkocze to jednym, to drugim aparatem.

Humiński i Regulski golą się z włosem i pod włos. Łowczy zakłada bindę na piękne sarmac-

kie wąsy. Puchalski raz jeszcze zapoznaje wszystkich ze scenariuszem.

— — — — — — — —

Zdjęcia rozpoczynamy w Nadleśnictwie Browsk na łąkach nad rzeką Gwoźną, odgradzającą rezerwat od dalszych partyj lasu.

Zakątek jest cudownie piękny, jakby wycięty żywcem z akwareli Fałata.

Rzeka miejscami tylko zamarznięta i skryta lodem, na oparzeliskach błękitna odbiciem nieba, wije się skroś płowego łanu trzcin, to znów wśród nieskalanej bieli, spływających łagodnymi zboczami, ku tafli wodnej śnieżystych brzegów. Świerki, bramujące dolinę, ustrojone są w zarękawki i kołnierze z puszystego, jak angora śniegu i biją w niebo strzelistymi piramidami. Słupki oddziałowe nałożyły wysokie, niby z białego baranka papachy. Odrosty świerkowe między pniami zatulone są w jedną cieplutką pierzynę, która nie mówi nawet czy drzemie pod nią jedno, czy więcej drzewek.

Daleki bór na prawo jest ciepło niebieski, zaś brzeźniak na lewo miękko liliowy.



Dzik.

A przestwór nad głowami, jakby zanurzany w nocy wielokrotnie w farbce, pyszni się, mówiącym już o wiośnie, głębokim lazurem.

Pierwszą scenę węża sań, wyjeżdżających z tuneli leśnych, wijących się łąkami, buchających w głęboki rów, zakończyliśmy przed chwilą, by zacząć ją znowu od początku.

Wreszcie, kiedy z koni idzie już para, a i Puchalski zsuwa zajęczą czapkę z zroszonego potem czoła, scena jest jako tako ukończona.

Teraz następna, zdawałoby się prosta zupełnie i łatwa: zachodzenie na stanowiska.

Ustawia się rząd myśliwych, prowadzi łowczy, na końcu strażnicy; kędyś i Witkowski z trąbkami, przewieszonymi przez plecy.

Ruszamy. Szumiący za plecami aparat dziwnie denerwuje i peszy.

— Pan Regulski skręca w prawo. W prawo. Źle. Jeszcze raz.

Ustawiamy się znowu, znowu ruszamy.

— Stój! Kolega Kowalski idzie przecież przedostatni, nie można zmieniać kolejności. Proszę wrócić na swoje poprzednie miejsca.

Znowu rusza pochód.

— Kto tam się ogląda na aparat? Przecież tyle razy mówiłem, że nie można — denerwuje się kapitan.

— Jeszcze raz od początku — zarządza spokojnie Puchalski.

No, wreszcie wyszło. Teraz zbliżenie nóg kopiących się przez śnieg, potym ładowanie broni. Wreszcie składanie się ze strzelby w głąb miotu.

— Czego pan ciągle zerka w obiektyw? — mówi do mnie kapitan.

— Broń Boże — nie zerkam.

— Tak się panu zdaje, strzyże się okiem zupełnie podświadomie. Trzeba ciągle o tym pamiętać i bezustanku uważać.

— Zaczynamy. Wszyscy na miejsca. Przypominam: ruchy powolne, jakby pełne godności, spokojne, naturalne.

Terkocze Morigraf, szumi Arriflex.

— Proszę znowu nie zerkać!

Stanowczo nie mam ochoty być dłużej gwiazdorem.

15 lutego 1947 r.

Słońce, pogoda. Mrozu 19°. Cisza.

Od rana w robocie są żubry.

Żubry są ogromnie fotogeniczne, a poza tym mają duże zdolności filmowe.

Ruszają się spokojnie, z godnością, powoli, naturalnie, czego nie trzeba im nawet przypominać. Cierpliwość ich jest też niewyczerpana, byle im tylko podrzucić czy kwaterkę owsa, czy przygarstkę siana. Klaśniesz parę razy, a już podniósłszy ogony do góry, galopują przewalającymi się, mocarnymi skokami.

W aparat też nie zerkają, chyba złym okiem i to nie na obiektyw, ale na operatora, który im zbyt długo naprzyksza się z kamerą.

Wtedy też rozeźlony zwierz, z nabiegłymi krwią oczami, potrafi rąbnąć z taką siłą rogami w ogrodzenie, że znajdującym się z drugiej strony palisady ludziom robi się, pomimo grubych pierwion płotu, nader nieprzyjemnie.

Normalnie jednak grzechot Arriflexa nie potrafi wyprowadzić ani jednego żubra z niezachwianej niczym równowagi. Szczególnie wspaniały byk Plisz, dorównywujący prawie wzrostem i majestatem Borusowi, pomimo zadawania karmy i klaskania zgadza się pozować do filmu wyłącznie jako nieruchomy, niby wyrzeźbiony z mosiądzu posąg.

16 luty 1947 r.

Pogoda trochę gorsza—mróz 23°. Lekki wiatr. Słońce prześwituje przez chmury, jak miedziany okrągły pieniążek. Śnieg ma więc odpowiednie refleksy, a wnętrze lasu wymaganą głębokość.

Jak to fachowo powiedziane, co?

Filmujemy więc na cztery ręce. Praca idzie nam szybko, dużo sprawniej i gładziej. Otrzaskaliśmy się już ze wszystkimi klatkami, sektorami i blendami. Wiemy już też, że film nakręca się zawsze od końca lub środka, ale nigdy nie od początku scenariusza. Wiemy, że księżyc robi się ze słońca. Wiemy, że wszystkie twarze ludzkie sfilmowane bez dostatecznego światła, zamieniają się na murzyńskie gęby. Wiemy...

W sumie i w rezultacie ostatecznym nie wiemy właściwie nic, choć naświetlamy sceny prawdziwe, wyłącznie i tylko myśliwskie.

Dzisiejszy dzień przeznaczony jest na filmowanie polowania na dziki z psami. Humiński biega za naszymi poczciwymi Biełkami, jak Nurmi, aż wiatrówka przez pięć swetrów potnieje mu na wylot. Puchalski biega wogóle bez wiatrówki. A ja po półgodzinnym maratonie daję za wygraną i nie biegam wogóle.

Niestety, po nakręceniu jakichś 20 metrów taśmy odyniec zcina nam czarnego kundelka Kruczka,, a wojowniczy wycinek rozpruwa szabelką łapy owczarkowi, Gryfowi.

Szczęśliwie mamy już jednak utrwalonego na filmie, szarżującego na psy pojedynka, mamy trzymanego przez Biełkę warchlaka, mamy lisa idącego wprost na obiektyw i nakrywającego się



Operatorzy przy filmowaniu

kitą po moim strzale, mamy wreszcie . . . no, nie będę wszystkiego zdradzał.

Resztę niech opowie najlepiej sam film.

Proszę tylko o kilka miesięcy cierpliwości.

Z. Kowalski.

JÓZEF GOETZ.

Rola siedliska leśnego w hodowli grubej zwierzyny

(Referat wygłoszony w oficerskim obozie jenieckim w Murnau).

Dwa są podstawowe zagadnienia w hodowli grubej zwierzyny, a to odstrzał selekcyjny, oparty na podstawach dziedziczności, oraz kwestia wyżywienia zwierzyny w naszych lasach.

Zasady i reguły odstrzału selekcyjnego czyli odstrzału hodowlanego bardzo żywo były w ostatnich latach przedwojennych omawiane w świecie myśliwskim, a badania tak naukowe jak i doświadczalne w tym zakresie dały podwaliny do hodowli zwierzyny na zupełnie nowych zasadach. Ostatnio również sprawa wyżywienia zwierzyny w łowisku, jak i normowanie ilości zwierzyny, zależne od wartości odżywczej danego łowiska, wkraczają na nowe tory, biorąc za podstawę zasady opracowane dla żywienia zwierząt domowych. Badania te w odniesieniu do zwierzyny są raczej w zaczątku i bardzo jeszcze nie kompletne, napotykające na duże trudności, już choćby ze względu na niemożność ścisłego kontrolowania w lesie wyników różnego odżywiania się zwierzyny. Lecz już dotychczasowe wiadomości w tej dziedzinie rzucają dużo światła na to zagadnienie i zmuszają nas leśników i myśliwych podchodzić do tych spraw z zupełnie innego niż dotychczas punktu widzenia.

Analiza zawartości żołądków u ubitych jeleni, przeprowadzona przez Wróblewskiego w Puszczy Białowieskiej, pozwala wnioskować o sposobie odżywiania się jelenia. Skład pokarmu, znalezionego w żołądkach ubitych zwierząt przedstawiał się następująco:

Skład paszy zawartej w żołądku	I. Jeleń ubity w październiku przed pobraniem karmy zimowej	II. Jeleń ubity w październiku przed pobraniem karmy zimowej	III. Jeleń ubity 7 marca. Nie dochodził do paśnika
trawa	1 g	2 g	—
gałązki z krzaków	3 g	20 g	35 g
liście z drzew	20 g	79 g	25 g
pędy w postaci grubej trociny drzewnej	650 g	505 g	
pędy w postaci drobnej trociny drzewnej	161 g	150 g	940 g
Pokarm drzewny	834 g	754 g	1.000 g
trawa	1 g	2 g	—

Z powyższego wynika, że jeleń w naturalnych warunkach, jakie przedstawia Puszcza Białowieska, prawie wyłącznie odżywia się pędami drzew i krzewów, pączkami, liśćmi, w nikłej zaś ilości pobiera trawę. To

samo zresztą w/g Wróblewskiego wynika z budowy uzębienia i żołądków. Widzimy więc przystosowanie jeleni do przyjmowania pokarmu zbitego, lecz równocześnie bogatego w białko, gdyż końce pędów, pączki i liście wykazują w stosunku do innych części rośliny największą zawartość białka. Pędożernym jest również daniel i sarna, chociaż brak tutaj materiału porównawczego.

Tak więc przedstawia się skład karmy w warunkach, gdzie człowiek nie zniszczył jeszcze równowagi biocenotycznej lasu swymi zabiegami gospodarczymi, a las i zwierzyna rozwijają się na naturalnych prawach. Z chwilą jednak, gdy zwierzę znalazło się w warunkach zupełnie odmiennych, gdy obszar jego życiowy znacznie się skurczył, gdy samo środowisko leśne uległo zasadniczej zmianie, zatracając cechy naturalności z pierwotną obfitością i różnorodnością zadrzewienia przez przejście na jednogatunkowe — na wielkich powierzchniach — sztucznie zakładane lasy, a wreszcie, gdy w dodatku ze zwierzęcia dzienno-nocnego stało się prawie wyłącznie zwierzęciem nocnym, z tą chwilą jeleń, dostosowując się do tych warunków, z konieczności musiał zmienić sposób odżywiania się.

Rekompensatę za zubożone siedlisko znalazła zwierzyna w paszy trawiastej, w płodach rolnych oraz w małowartościowych pod względem odżywczym wrzosach, czernicach, porostach i t. p., uzupełniając to ogryzaniem kultur i spałowaniem drzew.

Porównując jakość paszy, z której zwierzyna na danym siedlisku może korzystać, z rzeczywistym zapotrzebowaniem na poszczególne składniki chemiczne, możemy z dużą dokładnością określić, czy pasza dana jest wystarczająca w danej ostoi pod względem odżywczym, czy też zwierzyna odczuwa braki.

Dzienne zapotrzebowanie paszy przez poszczególne gatunki zwierzyny w różnych jej okresach rozwojowych przedstawia się następująco (według Ringla):

Gatunek zwierzyny		Zapotrzebowanie dzienne				Stosunek białka do skrobi	zapotrzeb. składników chemiczn.		pojemność żołądka na paszę zieloną
klasa wieku	żywa waga kg.	sucha masa kg	białko g	wartość skrobiowa g	balast g		CaO (wapno) g	P_2O_5 (fosfór) g	kg.
		jeleń							
byk stary	300	5-6	250	2.500	2100	1:10	16.2	13.8[1]	30–35
							54	46 [2]	
byk stary	200	3.6-4.7	180	1800	1600	1:10	54	46	
łania	90	1.8-2.4	90	900	850	1:10	13.5	11.5	12–15
łania nosząca płód		2.2	140	1120	850	1: 8	18.9	16.1	
łania karmiąca		2.3	230	1300	850	1: 6	21.1	18.4	
cielak	40	1.2	130	700	400	1: 5	11	9	–
cielak	75	2.5	175	1000	750	1: 6	16	14	
cielak 1 – 1½ l.	150	4.0	225	1350	1000	1: 7	21	19	
byk 2 ½ l.	200	5.0	200	1650	1500	1: 8	27	23	25
		daniel							
łopatacz	110	2-2,6	100	1000	900	1:10	16	14	8–15
łania	50	1,2-1,5	55	500	600	1:10	8	7	
łania nosząca płód		1.6	90	700	600	1: 8	10.7	9.3	
łania karmiąca		1.8	140	800	600	1: 6	13.4	11.6	
cielak	16	0.75	65	300	200	1: 5	11	9	
		sarna							
kozioł lub sarna	20–30	0.75	25-30	250	350	1:10	5.4	4.6	2–4
sarna nosząca płód		0.80	45	350	350	1: 8	7	6	
sarna karmiąca 2 koźlęta		1	100	500	350	1: 5	8.6	7.4	
koźlę	8–10	0.370	35	200	100	1: 6	3.2	2.8	

1) na bytowanie,
2) produkcja poroża w miesiącach marzec — czerwiec.

Wartość paszy określona jest wartością strawnego białka i wartością skrobiową. Białko strawne jest najważniejszym składnikiem, z niego wytwarza się bowiem mięso, mleko, krew, soki trawienne, sierść itp. Wartość skrobiowa obliczona jest ze strawnych składników pokarmowych, a więc białka właściwego, amidów, tłuszczu, bezazotowych ciał wyciągowych i surowego włókna. Oprócz składników odżywczych podany jest balast — który dopiero daje zwierzęciu wrażenie sytości. Oprócz tego podana jest ilość suchej masy wzgl. paszy świeżej, jaką zwierzyna pomieściić może dziennie w swoim żołądku.

Z powyższego zestawienia wynika, że w okresie rozwoju młodzieży matka jak i sama młodzież potrzebują najlepszego pokarmu — najbardziej bogatego w białko.

Biorąc za podstawę powyższe dane, dotyczące zapotrzebowania na paszę tak pod względem ilościowym jak i jakościowym przez poszczególne gatunki i klasy wieku zwierzyny z jednej strony oraz znając skład chemiczny poszczególnych pasz z drugiej strony, można określić, czy istnieją w danym łowisku możliwości wyżywienia zwierzyny grubej oraz jaka ilość zwierzyny dopuszczalna jest w danym łowisku. Dla przykładu weźmy rewir, w którym zwierzyna paść się może na dobrych, w kulturze utrzymanych łąkach, przyjmując, że z nich czerpie całą paszę celem nasycenia się. Wartość odżywcza paszy łąkowej przedstawia się jak poniżej: (patrz str. 9)

Łania jelenia już przez zjedzenie 4 kg trawy (co odpowiada 0,68 kg suchej masy) w miesiącu maju dostarcza swemu organizmowi 88 g białka, co pokrywa się z jej zapotrzebowaniem dziennym na białko. Równocześnie w tej ilości paszy trawiastej pobiera 420 g wartości skrobiowej i 160 g balastu. Zapotrzebowanie dzienne łani w tym okresie wynosi natomiast 900 g wartości skrobiowej i 850 g balastu. Brakująca ilość

1000 gramów świeżej masy dobrej trawy łąkowej zawiera:	białka g	wart. skrob. g	balastu g	suchej masy kg
w maju przed zakwitaniem	22	105	40	0. 17
w czerwcu	19	116	76	0. 23
w lipcu	11	106	118	0.128

wartości skrobiowej i balastu może być uzupełniona przez dodatkowe pobranie paszy trawiastej,—zważywszy, że pojemność żołądka łani mieści się w granicach 12—16 kg. świeżej masy, odpowiadającej 2.—2,5 kg. suchej masy. Zapotrzebowanie łani na wapno i fosfor byłoby też w tej paszy pokryte.

Warunki jednak żywnościowe na łąkach w miarę przekwitania i dojrzewania traw stają się mniej korzystne. Jakość paszy się pogarsza, a wymagania łani — noszącej płód — wzrastają. Mimo to łania, pobierając w czerwcu 7 kg. trawy, co odpowiada 133 g białka, 812 wartości skrobiowej i 532 balastu, pokrywa w zupełności zapotrzebowanie białka, a brakujące wartości skrobiowej i balast może łania uzupełnić pobraniem dalszej paszy (7 kg. trawy = 1.6 kg. suchej masy), Również zapas fosforu i wapna w tej karmie jest wystarczający. Na skutek pobierania dodatkowych ilości paszy zarówno w maju jak i w czerwcu dla zrównoważenia potrzebnego balastu i wartości skrobiowej powstaje równocześnie pewien nadmiar białka, który przez zwierzynę wykorzystany zostaje na polepszenie swej kondycji.

Ale już w miesiącu lipcu, kiedy łania prowadzi i karmi cielaka, napotyka na trudności z wyżywieniem, jeśliby tylko paść się miała na łąkach. Celem pokrycia zapotrzebowania białka (230 g) potrzeba byłoby żeby łania pobrała 21 kg. trawy = 5.8 kg. suchej masy. W ten sposób doprowadziłaby do swego organizmu 231 g białka, 2326 g wartości skrobiowej i 2478 g balastu. Takich jednak ilości masy roślinnej (ani świeżej ani suchej) łania pobrać nie może, pominąwszy już niekorzystny stosunek białka do skrobi — wynoszący 1 : 10, zamiast 1 : 6. W miesiącu lipcu łania pobrać mogłaby tylko 8 kg trawy, która to ilość odpowiada 2,3 kg suchej masy. W paszy tej wystąpi nie tylko niedobór w białku w ilości 143 g, lecz również w wapnie i fosforze, których zapotrzebowanie dzienne wynosi 21,6 g CaO i 18,4 g P_2O_5. Pasąc się zaś swobodnie na dobrych łąkach pobrałaby 12 g CaO i 12,6 g P_2O_5 czyli za mało 44% wapna i 32% fosforu.

Powyższy przykład odżywiania odnosi się do warunków rzadko u nas spotykanych, a mianowicie do zwierzyny trzymanej w zwierzyńcach, względnie może mieć miejsce w głębokich jednogatunkowych borach sosnowych, w których zwierzyna, żyjąca zdala od pól, skazana jest na żywienie się na śródleśnych łąkach. W tych warunkach oczywiście koniecznym jest przez odpowiednią pielęgnację, nawożenia, wsiewki traw szlachetnych i motylkowych podtrzymać wartość odżywczą traw w danej łące. Jeszcze gorzej kształtują się warunki żywnościowe w jednogatunkowych sosnowych drzewostanach oraz na suchych siedliskach, gdzie zachodzi brak łąk śródleśnych, jako też na okolicznych polach uprawnych o glebach ubogich, nie dających paszy wartościowej. Obraz taki jest dość często spotykany w sztucznych lasach sosnowych środkowej i zachodniej Polski. Jedyną paszą, jaką zwierzyna musi się tutaj zadawalać, to szpilki sosnowe, wrzos i skąpe ostre trawy, typowe dla suchych gleb piaszczystych.

Badania przeprowadzone na domowych zwierzętach wykazały, że białko zawarte w igłach sosnowych nie tylko, że jest zupełnie niestrawne, ale ponadto zmniejsza strawność ciał białkowych, pobieranych z innymi paszami. Stąd wniosek, że igły sosnowe są dla zwierzyny prawie bezwartościowe, a jedynie — zapełniając żołądek — zaspakajają głód. Podobnie i strawność chrobotka (Cladonia rangiferina) — opierając się na wynikach w żywieniu owiec i świń — jest bardzo małą, przedstawiając jako pasza nikłą wartość. Stosunkowo najlepszą karmę przedstawia wrzos (Calluna vulgaris), którego wartość odżywcza zbliża się do słomy jarej, wywierając przy tym dodatni wpływ na strawność. Widzimy więc, że na takich ubogich siedliskach zwierzyna nie może się pomyślnie rozwijać, a raczej tylko bytuje. Z głodu spałując drzewa i niszcząc kultury wyrządza wówczas duże szkody.

W danym wypadku winę ponosi leśnik, który nie umie utrzymać odpowiedniego liczbowego stosunku w zwierzostanie oraz nie umie stworzyć zwierzynie warunków normalnego bytu. Zasadniczo zaś tak ubogie siedliska wogóle nie powinny być ostoją zwierzyny z tej prostej przyczyny, że nie mogą jej wyżywić

Jeżeli przyjmiemy, że łania pobierze dziennie:

4 kg karmy polnej — 1,12 kg suchej masy

2,8 kg wrzosu — 1,42 kg „ „

to razem pobierze 2,50 kg suchej masy, wystarczającej do nasycenia. W 4 kg karmy polnej w porze letniej zawarte jest 50 — 60 g białka, w 2,8 kg wrzosu zawarte jest 20 g białka, czyli, że łania w takim składzie pasz pobierze 80 g białka, wystarczających jej na paszę bytową. Natomiast ciężarna łania pobiera już o 60 g białka za mało, a łania karmiąca cielaka o 150 g za mało.

Ten niedobór w białku mogłaby łania pokryć przez pobranie większych ilości karmy polnej, lecz obserwacje wykazują, że zwierzyna pobiera karmę w małych raczej dawkach, a częściej; krótka zaś noc letnia nie sprzyja pobraniu większej ilości karmy polnej. Oczywiście lucerna, seradela, koniczyna, łubin słodki i tym podobne bogate w białko pasze podwyższają ilość białka w pobranej karmie polnej o + 50 g, zawsze jednak pozostaje niedobór 50—100 g białka

Obserwacje stwierdzają, iż w łowiskach o niedostatecznych możliwościach wyżywienia, niedobór białka i innych składników kształtuje się następująco:

	Białko	Wartość skrobiowa	Wapno	Fosfor	Pora roku
	g.	g.	g.	g.	
	jeleń				
byk	0 — 50	500	—	10 — 20	II — V
łania nosząca płód	0 — 50	—	—	—	III — V
łania karmiąca	100 — 150	730	6	7 — 16	VI — IX
	daniel				
łopatacz	30	300	—	5	III — IX
łania karmiąca	75	300	—	11	latem
	sarna				
sarna karmiąca	50 — 70	250	—	2 — 5	latem

Ogólnie więc biorąc, w średnich warunkach siedliskowych, brak białka zaznacza się: 1) u samic w ostatnim okresie noszenia płodu oraz w okresie intensywnego karmienia młodych; 2) u samców w okresie wypychania poroża.

W tych samych okresach, tak u jednych jak i u drugich, zachodzi również brak fosforu.

Skutki słabego odżywiania są .bardzo widoczne. Matka karmiąca nie może dostarczyć swemu potomstwu mleka w dostatecznej ilości i jakości, wskutek tego przychówek jest słabo rozwinęty i mało odporny na różne choroby. Zwierzyna głodująca staje się coraz słabsza, a przeciętna waga jej spada. Bardzo często zjawisko to występuje w wypadkach, gdy zwierzyna trzymana w ogrodzeniach — niema dostatecznego pożywienia; w tych warunkach zwierzyna zupełnie karleje (danięle, jelenie).

W niemniejszym stopniu braki te, występujące w białku i składnikach mineralnych, zwłaszcza w okresie wytwarzania się poroża, mają ogromny wpływ na masę (wagę) tegoż. Doświadczenia zebrane w Czechach dobitnie to potwierdzają, że im lepsza pasza, tym lepsze poroże. Potwierdzają to silne poroża, wypychane już w młodym wieku przez oswojone rogacze, trzymane w leśniczówkach i dobrze odżywiane.

Idealne warunki nietylko bytowania ale i życia znajduje zwierzyna w lesie mieszanym, bogatym w podszycie i runo leśne. Wówczas las daje dostateczne wyżywienie, zwłaszcza jeśli spokój w lesie umożliwia zwierzynie czerpać z pożywienia nietylko w nocy, ale i przez cały dzień. W tak bujnym siedlisku zapotrzebowanie na białko i składniki mineralne jest w zupełności pokryte i zwierzyna może obejść się nawet bez pól uprawnych. W podobnych warunkach zwierzyna żywi się przede wszystkim pędami, pączkami, liśćmi różnych drzew i krzewów oraz przebogatym runem leśnym, poza tym różnymi owocami, jak jabłoni, gruszy dzikiej, żołędzią, bukwiną (miejscami kasztanami), wreszcie grzybami. Wartość odżywcza i dietetyczna żołędzi, buczyny, kasztanów, jarzębiny czy innych owoców jest powszechnie znaną. Zwłaszcza żołędzie i kasztany są bardzo bogate w bezazotowe wyciągi, (składające się po większej części ze skrobi i nieco cukru trzcinowego), potrzebne do wytwarzania tłuszczu.

Pędy i liście, które, jak już zaznaczyłem, są podstawową paszą zwierzyny grubej, różnią się co do swej wartości odżywczej w zależności od gatunku i pory roku.

Najbogatszą w białko jest olsza 22% (cyfry przybliżone) w suchym stanie, z kolei idzie topola czarna 19, lipa 17,5, dąb 17,5, wiąz 16,5, czeremcha amerykańska 15,5, brzoza 14,5, kasztanowiec 14, leszczyna 14, iwa 12,6, klon 11,2, osika 11,5 buk 11, grab 10,5. Pod względem zawartości składników mineralnych wybija się wiąz z 10,5% popiołu, następnie kolejno lipa 7,7%, klon 7,6%, topola 6,9, leszczyna 6,5, kasztanowiec 6,3, olsza i osika po 6 itd.

Nie we wszystkich okresach wegetacyjnych roślina posiada ten sam skład chemiczny. Najbogatsze w białko są najmłodsze pędy i liście, w późniejszym okresie rozwojowym wartość odżywcza roślin dość szybko spada. Wykazuje to analiza n. p. gałęzi dębowych, zawierających w czerwcu 19,69 surowych protein, w lipcu 14,39, w sierpniu 13,25, w wrześniu 12,94, w październiku 9,33, w listopadzie 3,40. Także zawartość fosforu spada równolegle od 0,565 w czerwcu do 0,146 w listopadzie.

Wreszcie grzyby są bardzo cennym, wysokowartościowym i chciwie przez wszystką zwierzynę pobieranym pokarmem. Badania 15 gatunków grzybów wykazały, iż w suchej masie zawartych jest 13,7 — 65,9% surowego tłuszczu, 32,7% bezazotowych wyciągów, 13,1% surowego włókna i 10,1% popiołu. Najbogatsze w białko są:

Tricholoma personata	65,9%	surow. protein
Lycoperdon bovista—purchawka	65,6%	„ „
Psalliota campestris—szampion	55,5%	„ „
Morchella esculenta—smardz	34,1%	„ „

Niezmiernie ważnym zagadnieniem w hodowli grubej zwierzyny jest bezwzględny spokój w łowisku, jak i w pobliżu dziennej ostoi zwierzyny.

Ma to szczególne znaczenie u jelenia, z natury bardzo ostrożnego i unikającego zetknięcia się z człowiekiem. W mniejszym stopniu dotyczy to daniela i sarny. W naturalnych warunkach pobiera jeleń paszę w ciągu nocy, jak również w ciągu kilku godzin podczas dnia i to rano, koło południa oraz przed wieczorem. W ten sposób, pobierając za każdym razem małe

stosunkowo ilości paszy, ma możność zaspokojenia głodu w ciągu całej doby równomiernie. Gorzej rzecz się przedstawia, jeśli zwierzyna—płoszona, względnie narażona na niebezpieczeństwo ze strony osób czyhających ze strzelbą na pograniczu łowiska,—przez cały dzień zaszywa się w gęstych zagajnikach, by opuścić je dopiero gdy się dostatecznie zciemnieje. Jeśli tą dzienną ostoją są monotonne zagajniki sosnowe, gdzie brak jest wszelkiej paszy poza małowartościowymi igłami sosnowymi, wówczas zwierzyna skazana jest na całodzienne głodowanie. Wynikiem tego jest spałowanie sosny i niszczenie zagajnika, prowadzące częstokroć do zupełnej jego zagłady. W spokojnych łowiskach, a ponadto obfiitujących w liczne podszycia liściaste, zwierzyna podczas dnia opuszcza gąszcze i posila się, dzięki czemu nie potrzebuje spałować zagajników.

Wnioski:

1) Gruba zwierzyna, zwłaszcza jelenie, winna być hodowana tylko w tych lasach, gdzie siedlisko na to zezwala. Wszystkie drzewostany czystososnowe na suchych siedliskach nie mogą być podatnym ośrodkiem hodowli.

2) Ilość zwierzyny winna być ściśle dostosowana do możliwości wyżywienia przez dane siedlisko. Dla dobra zwierzyny nie dozwolony jest zbyt liczny zwierzostan, któremu dana ostoja nie może dać odpowiedniego wyżywienia.

3) Należy stworzyć jaknajlepsze warunki żywnościowe w łowisku przez:

a) ochronę różnych gatunków drzew liściastych i nieusuwanie ich przy trzebieżach lub wyrębach. Ochraniać grusze, jabłonie, dęby, buki, jarzębinę oraz krzewy, jak jeżyny, maliny, bez koralowy, bez czarny itp. Zwłaszcza jeżyny o ulistnieniu zimotrwałym są doskonałą i pożądaną paszą;

b) sadzenie w lasach różnych gatunków drzew i krzewów, które mogą dać zwierzynie paszę obfitą w pędy i liście, a po owocowaniu również tak bardzo przez zwierzynę poszukiwane owoce (żołądź, kasztany, jabłka, gruszki, jarzębiny itp.);

c) meliorację łąk śródleśnych i utrzymanie ich w kulturze;

d) rozwiązanie szczęśliwe tak dla ludności okolicznej, jak i zwierzyny kwestii zbierania grzybów i jagód: pewna część lasu winna być zarezerwowana tylko dla zwierzyny i to tym bezwzględniej, im gorsze jest siedlisko leśne (z tym łączy się zachowanie spokoju w jednej chociaż części łowiska);

e) zakładanie poletek i lizawek.

4) Dokarmiać zwierzynę w porze zimowej paszami wartościowymi.

5) Odsłaniać przy pomocy pługa śnieżnego wrzosy i czernice w czasie gołoledzi lub głębokich i długotrwałych śniegów.

6) Zapewnić zwierzynie jaknajwiększy spokój w lesie, by mogła nietylko nocą, ale i przez cały dzień swobodnie poruszać się w łowisku i poszukiwać pokarmu.

Wszystkie te zabiegi, zmierzające do poprawienia w lesie warunków bytu, nie wymagają specjalnie dużych nakładów pieniężnych. Niektóre z nich pokrywają się z postulatami hodowli leśnej (lasy przerębowe, przerębowo-zrębowe, mieszane drzewostany, podszycia itp.). Przy poparciu ze strony władz wyższych i chęci ze strony leśników usiłowania utrzymania zdrowego w pełni tego znaczenia zwierzostanu w naszych łowiskach uwieńczone będą pełnym sukcesem.

Kwestia wyżywienia zwierzyny jest zagadnieniem zasadniczym w hodowli, zwłaszcza jelenia, daniela i sarny; z tym też łączy się ściśle zagadnienie unormowania ilości zwierzyny do możliwości wyżywienia przez dane łowisko. Wszystkie próby generalnego ustalania liczebności zwierzostanu dla danego siedliska są nierealne, decydującym może tu być tylko ścisłe studium przeprowadzone na miejscu w łowisku. Z jednej strony dane dotyczące zapotrzebowania zwierzyny co do poszczególnych pasz z uwzględnieniem ich składników pokarmowych w różnych porach roku i w różnych stadiach rozwojowych, z drugiej strony — dane co do wartości odżywczych poszczególnych składników paszy, z jakich czerpać może zwierzyna (z uwzględnieniem paszy polnej, spokoju w lesie i innych przyczyn) dadzą nam dopiero możność określenia wartości odżywczej danego siedliska i ustalenia ilości zwierzyny, jaka może w danym łowisku być hodowana.

J. Goetz.



Wilk *fot. W. Puchalski*

WŁ. ROZLAU.

MOJE PIERWSZE WILKI

Będąc jeszcze oficerem 4 pułku ułanów, rozlokowanego owego czasu na dalekich kresach północno-wschodnich, jako wierny czciciel Św. Huberta bywałem wielokrotnie na zbiorowych polowaniach i obławach na wilki, urządzanych na wielką skalę, gdzie do naganki używano po kilkaset nawet naganiaczy, a myśliwych zbierało się po kilkadziesiąt osób.

Polowania i obławy robione były na terenach, gdzie

wilki były w obfitości i srodze dawały się we znaki okolicznej ludności, dusząc masowo owce, świnie, a nawet konie, ale wilki są tak czujne i ostrożne, że zawsze jakby przeczuwały, co ich czeka: już w czasie rozstawiania naganki i myśliwych wynosiły się z miotów, albo też, jeżeli zaspały, to wymykały się bokami, lub uchodziły przez nagankę.

Rezultaty więc takich polowań, z małymi wyjątkami, były przeważnie żadne. Ja osobiście nie tylko nie strzelałem, ale nie widziałem nawet nigdy wilka w miocie. Wielokrotnie próbowałem ubić wilka na zasiadkę i wiele nocy zmarnowałem, czatując przy padlinie w odosobnionych stodołach i szopach. Wilki faktycznie przychodziły do padliny, przychodziiły nawet pod same okna chałup wiejskich i obórek chłopskich, porywały owce i świnie i dusiły kundle podwórzowe, do których czuły specjalną nienawiiść, ale wystarczyło, żebym zrobił na nich zasadzkę, a wilków nie było. Zniechęcony niepowodzeniem po 2—3 nieprzespanych nocach nie przychodziłem przez jedną noc na swoje stanowisko, a nazajutrz okazywało się, że cała padlina jest poszarpana przez wilki. Miałem pecha!

W jesieni 1921 r. przeniesiony zostałem do 25 pułku ułanów, kwaterującego po wsiach w powiecie Nowogródzkim, w okolicach jeziora Świtezi. W wolnych chwilach polowałem przeważnie na kaczki, których była wielka ilość na rozmaitych bagienkach, szczególnie wzdłuż rzeki Szczary.

Nadeszła zima wyjątkowo mroźna i śnieżna. Śniegi spadły 3 października i nie stopniały aż do 15 kwietnia. Do wsi podjeżdżało się drogami, położonymi nie rzadko na wysokości dachów chat wiejskich.

Czas dłużył się niemiłosiernie, bo szkolenie ułanów było bardzo utrudnione, towarzystwa mało, a i zapolować też było trudno, to też wielką atrakcją dla mnie było otrzymanie w pierwszych dniach stycznia zaproszenia na reprezentacyjne polowanie, które Wojewoda Nowogródzki urządzał w Nalibockiej puszczy dla zaproszonych gości z Warszawy.

Mając do miejsca zbiórki, do majątku Szczorsy, położonego na skraju puszczy Nalibockiej na lewym brzegu Niemna, trzydzieści kilka kilometrów, razem z majorem Boguszem, ubrani w ciepłe baranice, wyruszyliśmy w drogę wygodnymi saniami, zaprzężonymi w mocne konie o świcie, w przeddzień polowania, by, po przenocowaniu na miejscu zbiórki, wziąć udział w zapowiedzianym polowaniu.

Droga była ciężka, to też dobiliśmy do miejsca przeznaczenia dopiero o zmroku. Towarzystwo, które zastaliśmy w komplecie już na miejscu, było bardzo sympatyczne, a rej wodził p. Zaremba, stary wyga, myśliwy kresowy, urzędnik województwa Nowogródzkiego, który bez przerwy opowiadał najrozmaitsze kawały myśliwskie i którego wszyscy obecni ochrzcili mianem „Wojskiego".

Humor był wyśmienity, wilki pewne — otropione, gospodarze bardzo gościnni i uprzejmi, to też czas bardzo miło nam upływał. Po wczesnej, zresztą bardzo sutej kolacji, wszyscy udali się spoczynek, by wypocząć po podróży i rano wyruszyć na łowy.

Nazajutrz zbudzono wszystkich wcześnie, bo do miejsca zbiórki było kilka kilometrów, a tereny do opolowania duże, zresztą obawiano się, by wilki w międzyczasie nie wywędrowały w świat. Po pośpiesznym śniadaniu sznur sań wyruszył przez Niemen do puszczy, która zaczyna się zaraz za Niemnem. Konie rwały z kopyta, a wszyscy, podziwiając piękno puszczy zasypanej śniegiem, modlili się w duszy do Św. Huberta, by właśnie jego wyróżnił w tym dniu i skierował upragnionego zwierza na niego, a nie na sąsiadów, „bo, Panie, wilk, to nie zając!"

Niestety, już pierwszy miot rozwiał wszelkie nasze nadzieje. Okazało się, że otropione wilki w czasie pędzenia wymknęły się bokami i na myśliwych nie wyszły.

Następne mioty nie były szczęśliwsze. Wilków nie było! Całodzienny plon polowania, jak na tak staranne przygotowania, był dość mizerny: kilka lisów i trochę zajęcy-szaraków i bielaków. Ja upolowałem 4 bielaki, które zresztą chętnie zaofiarowałem kolegom myśliwym z Warszawy, dla których podobna zwierzyna była rzadkością. Pierwszy Prezydent R. P. Narutowicz zabił ładnego lisa

Po skończeniu polowania przed wieczorem powróciliśmy do Szczorsów, by nazajutrz zapolować jeszcze na wilki i dziki w Lubczańskiej puszczy, położonej na północ od Szczors, za Niemnem. Wieczór znów miło nam upłynął przy kolacji i pocieszaniu się kieliszkiem po doznanych zawodach łowieckich.

Nazajutrz rano znów sznur sań wyruszył z majątku, ale tym razem nie na wschód, a na północ. Puszcza Lubczańska, położona na bagnistym terenie i poprzecinana olbrzymimi rowami odwadniającymi, napełnionymi wodą, też jest bardzo ciekawa, chociaż dostępna tylko w zimie, kiedy lody pokryją wszelkie wody i bagna. Lubczańska puszcza jest ulubioną ostoją dzików.

Po przybyciu na miejsce zbiórki zaczęto ustawiać myśliwych na skrzyżowaniu dwóch rowów odwadniających, przy czym jedna połowa myśliwych miała stanowiska wzdłuż jednego rowu, druga zaś połowa — wzdłuż drugiego rowu, pod prostym kątem do pierwszego. Podczas rozstawiania myśliwych, prowadzący polowanie zmienił pierwotny plan rozstawienia myśliwych i zarządził ustawienie myśliwych wzdłuż jednego rowu w prostej linii.

Dziki faktycznie były. Duże stado — trzydzieści osiem sztuk, w tym kilka olbrzymich odyńców, znajdowało się w miocie.

Mnie postawiono na pojedyńczym świeżym wejściowym tropie olbrzymiego odyńca. Przede mną dość gęsta łozina z małymi lukami, z tyłu przestrzeń dość otwarta, by móc wygodnie strzelać. Miałem z sobą dubeltówkę, którą naładowałem zajęczym śrutem, bo teren był wyjątkowo zachęcający dla wymykającego się lisa, oraz karabin kawaleryjski z ponacinanymi kulami. Dubeltówkę oparłem o krzak, a do ręki wziąłem karabin, czekając na odyńca, który właśnie tędy powinien był wędrować z powrotem.

Odezwały się sygnały z naganki, wkrótce potym sygnały zwiastujące, że dziki są, krzyki naganki początkowo spokojne, potem coraz gwałtowniejsze i wreszcie wszystko ucichło! Domyślałem się, że pewnie dziki przerwały nagankę i uszły, postawiłem więc karabin i wziąłem dubeltówkę, czekając na lisa, albo choć na bielaka, ale niestety nic na mnie wyszło. Na całej linii nie padł ani jeden strzał! Głuchy miot!

Po dojściu naganki okazało się, że trzydzieści kilka dzików próbowało przedrzeć się przez nagankę, ale wystraszone cofnęły się w miot, a później wszystkie uderzyły na bok, który według pierwotnego planu

miał być dobrze obstawiony przez myśliwych, — i poszły bez strzału.

Próbowaliśmy jeszcze przeciąć drogę dzikom, ale któż złapie spłoszone dziki w puszczy? Wróciliśmy tedy znów do Szczors. Przeważna część myśliwych rozjechała się jeszcze tego samego dnia do domów. Pozostał również p. Zaremba, ów pełen humoru „Pan Wojski", jako dawny znajomy Pana Administratora maj. Szczorsy.

Podczas kolacji bardzo miły gospodarz zaproponował nam, by pozostać jeszcze na jeden dzień, a urządzimy sobie domowe polowanko, a może w międzyczasie straż leśna otropi wilki, które przecież w puszczy z całą pewnością są. Daliśmy się łatwo skusić i pozostaliśmy.

Następnego rana, nie spiesząc się zbytnio, wyruszyliśmy na polowanie. Było nas wszystkiego czterech, to też wystarczyło nam kilkunastu chłopaków do naganki. Polowaliśmy na skraju puszczy Nalibockiej. Polowanie nie było zbyt obfite w rezultaty. Padło zaledwie kilkanaście szaraków, przy czym ja nie strzeliłem nawet ani razu i zbliżał się czas powrotu do majątku, gdy wtem przyjeżdża małymi saneczkami gajowy i melduje, że „wilki są". Na moje zapytanie, jak daleko, gajowy odpowiada, że ze 12 wiorst będzie. Krótka narada, co robić? Dostatecznej naganki nie mamy, wieczór się zbliża, a do wilków daleko!

Byłem przekonany, że zanim dojedziemy i rozstawimy się, zapadnie wieczór i uniemożliwi polowanie. Pan Administrator był jednakże odmiennego zdania i postanowił, że należy skorzystać z okazji i spróbować, a może wilki będą? Mieliśmy z sobą troje sań, gajowy więc zabrał wszystkich naganiaczy na swoje i nasze dwoje sań i wyruszył śpiesznie w jedną stronę, mając polecenie zebrania po drodze ile się da gajowych, my zaś we czwórkę na pozostałych jednych saniach również śpiesznie ruszyliśmy w przeciwnym kierunku.

Kiedy przyjechaliśmy na umówione miejsce, wyskoczyliśmy z sań i przy olbrzymiej grobli, przecinającej nam drogę, stanął „Pan Wojski", następnie o 200 kroków dalej postawiono mnie, następnie mjr. Bogusza, a na prawym skrzydle zajął stanowisko Pan Administrator. Wieczór się zbliżał, przed nami i za nami puszcza i cisza kompletna. Moje stanowisko wypadło jakby na niewielkiej polance: przede mną ściana gęstego podszytego boru, z boków przestrzeń dość otwarta na 50 — 60 kroków z lewej i 40 — 50 kroków z prawej strony od znajdującej się po środku kępki drzew i łoziny.

Mając dowolny wybór stanowiska, stanąłem właśnie w tej kępce drzew i gorąco poleciwszy się opiece Św. Huberta, nabity karabin oparłem o drzewo, do ręki wziąłem dubeltówkę, nabitą loftkami i czekałem.

Upływały minuty za minutami, a w puszczy było „jak by makiem posiał", wreszcie po upływie przeszło ½ godziny, która wydała mi się wiecznością, gdzieś bardzo, bardzo daleko odezwały się trąbki i pojedyńcze strzały. Głosy zbliżały się w naszą stronę bardzo powoli, widocznie miot był bardzo głęboki, a na linii myśliwych panowała niczym nie zmącona cisza.

Najrozmaitsze myśli i zwątpienia męczyły mnie, czy, o ile wilki są w miocie, to czy przy tak długim miocie wyjdą akurat na nasze stanowiska? Przecież puszcza jest tak olbrzymia, a nasza linia jest stosunkowo taka króciutka? czy, jeżeli nawet wyjdą na naszą linię, to czy nie pójdą przez miejsca nie obstawione, przecież ja nie widziałem nawet moich sąsiadów!

Raptem ciszę przerwały dwa szybko po sobie następujące strzały z lewej strony, a więc strzelał p. Zaremba. Momentalnie uświadomiłem sobie, że wilki wyszły na nasze lewe skrzydło i przykro mi się zrobiło, że wyszły na mojego sąsiada, a nie na mnie, ale co robić?

Upłynęło jeszcze kilka minut. Naganka odzywała się coraz wyraźniej, a ja, myśląc, że wilków na pewno nie będzie, zmieniłem nabój w prawej lufie na śrut 4 mm, mając nadzieję, że może w ostatniej chwili przed dojściem naganki choć zając przykica do mnie. Gdy tak rozpaczałem, nagle usłyszałem tętent z lewej strony i zobaczyłem olbrzymiego wilczura, sadzącego po śniegu w odległości około 50 kroków ode mnie. Pamiętając, że w lewej lufie mam loftki, zmierzyłem w łeb galopującego wilka: strzał i wilk ruluje, jak zając. W momencie strzału słyszę tętent z prawej strony i w odległości 30 — 40 kroków widzę drugiego galopującego wilka. Znów strzał w łeb i drugi wilk ruluje. Niestety, nabój był zajęczy, a wilk twarde miał życie!

Po zrulowaniu, za chwilę wilk zaczyna się czołgać, a ja nie mam czym poprawić, bo obydwie lufy mam puste! Zmarznięte palce gorączkowo chcą wydostać z ładownicy ładunek z loftkami, a tymczasem wilk czołga się za krzaki z powrotem w miot. Wreszcie znika mi z oczu za krzakami. Jestem w rozpaczy! Zapomniałem zupełnie, że mam oparty o drzewo karabin, a w magazynku takowego 5 kul. Jednakże podniecony jestem do najwyższego stopnia, bo mój pierwszy wilk leży i ani drgnie!

Znów upłynęło kilkanaście minut, aż wreszcie z krzaków przede mną wyłania się gajowy, spotrzega mnie i po chwili pyta: „No, jak tam? Kto strzelał?" Ja mu opowiadam, że strzelałem ja, jeden wilk leży, a drugi powinien być też gdzieś niedaleko, bo czołgał się na brzuchu i proponuję mu, żebyśmy poszli śladem, bo tutaj gdzieś blisko napewno leży. Gajowy pomyślał chwilę, popatrzył na mnie i mówi: „Ot tam za tymi krzakami leży",

Wkrótce przywlekliśmy obydwa wilki na moje stanowisko, a zebrani myśliwi winszowali mi powodzenia i podziwiali moje trofea, które według słów znawcy, Pana Administratora, nie jednego wilka mającego na sumieniu, są wyjątkowo wielkie i piękne z gatunku t. zw. koniarzy! Wspaniały wilczur (mój pierwszy strzał) i piękna wilczyca. Obydwa wilki pięknego stalowego koloru.

Ja, naturalnie, byłem w siódmym niebie. Pierwsze wilki i w dodatku dublet i takie wyjątkowo piękne! Radość mnie rozpierała.

Okazało się, że na mojego sąsiada wyszły trzy wilki, do jednego z nich strzelał, a po jego strzałach wszystkie trzy zawróciły na nagnkę. Ponieważ później na mnie wyszły tylko dwa, więc niewiadomo, co się z trzecim stało. Może zastrzelony przez mojego sąsiada też gdzieś leżał? Może nawet znalazł go jaki naganiacz, albo gajowy, ale, ponieważ nikt nie zdradzał chęci szukania, tak, jak ja, więc zabrał go sobie później, bo przecież „wilk, to nie zając". Na poszukiwania nie było czasu, bo już zupełnie się zmierzchło, więc wyruszyliśmy z powrotem do Szczors.

Nazajutrz, podziękowawszy serdecznie miłemu gospodarzowi za gościnę, wyruszyliśmy wczesnym rankiem do domu, wioząc wspaniałą zdobycz.

Wł. Rozlau, płk. st. spocz.



Goście i gospodarze w dniu otwarcia Siedziby PZŁ.

Nowa siedziba Polskiego Związku Łowieckiego

W zeszycie 6 „Łowca Polskiego" z r. ub. podaliśmy krótki opis uroczystości otwarcia nowej siedziby naszego Związku przy ul. Nowy Świat 35. Przypominamy, iż w tym samym domu, w wewnętrznej oficynie (dziś całkowicie zburzonej) mieściło się przedtym Polskie Towarzystwo Łowieckie, a od 1923 r. władze naczelne Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, przemianowanego w 1936 r. na Polski Związek Łowiecki. W ten sposób nawiązana została tradycja do miejsca prawie 50-letniej pracy ideowej polskiego zrzeszonego łowiectwa.

Odbudowa siedziby dokonana została łącznym wysiłkiem wszystkich członków Związku, którzy opodatkowali się na ten cel dobrowolną ofiarą po 100 zł. od członka. Osobny Komitet Odbudowy, pod przewodnictwem kol. J. Skrzypka, dokonał zbioru potrzebnych dalszych funduszów, uzgodnił plany budowy, sporządzone przez artystę-architekta, S. Zinserlinga, i przeprowadził w rekordowym — na obecne stosunki — tempie, wykończenie robót na zgóry oznaczony termin. Zasługa tego spada głównie na specjalnie w tym celu wyznaczonego Komisarza Odbudowy, kol. Z. Kowalskiego.

Lokal składa się z dużej sali Konferencyjnej, utrzymanej w stylu dawnych komnat z kominkiem, ciemnym belkowaniem i ciemnemi dębowemi stołami, ławkami i stołkami, oraz z 5 innych pokojów, zajętych przez Biura Związku, Redakcję „Łowca Polskiego" oraz Warszawską Radę Wojewódzką.

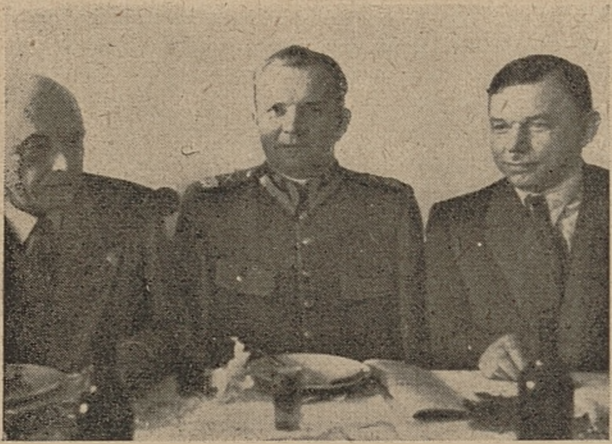
Poza siedzibą władz naczelnych Związku, miejscem obrad Walnych Zgromadzeń członków oraz posiedzeń Kół łowieckich i innych organizacyj Związkowych, lokal ma służyć za ośrodek zebrań towarzyskich dla członków P. Z. Ł. z Warszawy i przyjeznych z prowincji.



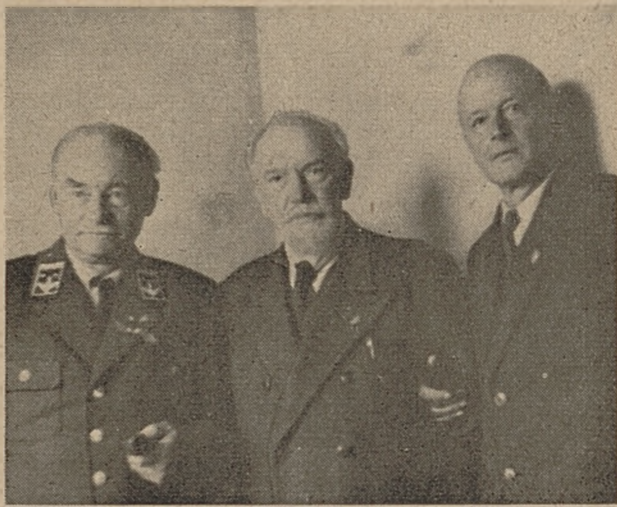
Prezes, gen. Szarecki, otwiera zebranie

Otwarcie lokalu dla takich zebrań o charakterze klubowym nastąpiło już w dn. 4 grudnia i dostępny on będzie nadal co czwartek od godz. 17.

Poniżej podajemy kilka zdjęć, dokonanych w dniu oficjalnego otwarcia siedziby 25 listopada 1947 r.



Przy śniadaniu: Marszałek Żymierski, Minister Podedworny, V. Prezes Regulski



Trzej seniorowie i członkowie honorowi Związku: J. Gieysztor, H. Knotke, W. Korsak.

JERZY OŚWIECIMSKI.

ŁOWIECTWO A MŁODZIEŻ

(Artykuł dyskusyjny).

Po pięcioletniej przerwie spowodowanej zawieruchą wojenną ideowi działacze łowieccy, skupieni pod sztandarem Polskiego Związku Łowieckiego, stanęli znowu do twórczej pracy, plany której kreślili sobie jeszcze podczas okupacji w nielegalnych zebraniach członków Rady Naczelnej. Stanęli do pracy niezrażeni ogromem zniszczeń, by z wiarą i zapałem rozpocząć odbudowę ruin.

Utworzenie centralnych i terenowych władz Polskiego Związku Łowieckiego, ukazanie się „Łowca Polskiego", nowelizacja prawa łowieckiego, nawiązanie kontaktu i współpracy z władzami państwowymi, rosnąca liczba członków Związku — oto trwałe fundamenty położone pod gmach Łowiectwa Polskiego.

Wierzę, że na dobrych fundamentach gmach ten będzie miał jeszcze wiele pięter...

Do tej pracy, do wypełnienia tego jeszcze czekającego ogromu zadań, muszą stanąć jak jeden mąż wszyscy bracia-myśliwi i nawet niemyśliwi,' lecz którym droga jest nasza ziemia ojczysta i jej piękna przyroda żywa.

Stąd wniosek, że należy starać się o zaszczepienie idei prawidłowego łowiectwa wgłąb t. j. do wszystkich na najgłębszej prowincji zamieszkałych myśliwych i t. zw. „myśliwych" oraz wszerz t. j. do ogółu społeczeństwa, a już w pierwszym rzędzie do tych, co z tytułu swego stanowiska państwowego czy społecznego mają taki czy inny związek z łowiectwem.

Wiemy, że w tej dziedzinie dużo zrobiono, że dużo jeszcze można i trzeba zrobić i że wiele jest po temu środków i sposobów. Bliższe ich omówienie rozsadziłoby jednak ramy niniejszego artykułu. Pragnę więc zająć się jednym odcinkiem, a mianowicie odcinkiem młodzieżowym.

Na wstępie muszę zaznaczyć, że, jeżeli chodzi o młodzież, jest ona bardziej podatna do zaszczepienia wszelkich idei od starszego, nierzadko konserwatyzmem i sceptyzmem przepojonego społeczeństwa. Nawiązana już współpraca z Ministerstwem Oświaty idzie w kierunku uświadamiania młodzieży, zwłaszcza szkół powszechnych i średnich, o potrzebie kochania i ochrony przyrody żywej.

Młodzież akademicka ma na niektórych wydziełach wykłady prawidłowej gospodarki hodowlano-łowieckiej.

I na tym bodaj koniec...

Nie ulega chyba jednak wątpliwości, że żyłka myśliwska jest rzeczą wrodzoną i że żyłka, jeśli tak można powiedzieć, pracy ideowo-łowieckiej idzie z nią w pewnym trudnym do ustalenia i zapewne zmiennym procentowym stosunku.

Logika każe nam wyciągnąć stąd wnioski, że wśród obecnej młodzieży akademickiej w Polsce mamy:

a) pewien odsetek młodzieży o żyłce myśliwskiej już rozbudzonej, nierzadko czynnie uprawiających polowanie,

b) pewien odsetek młodzieży, u której iskra myśliwska gdzieś drzemie ukryta i da się rozniecić,

c) pewna część młodzieży grup a) i b), która będzie z chęcią nietylko polować, lecz i zajmie się pracą ideowo-łowiecką.

Łatwo się domyślić dalszego wniosku, że w odróżnieniu od młodzieży młodszej, która winna być przedmiotem ekspansji idei zrozumienia, miłości i ochrony przyrody, młodzież starsza t. j. akademicka, może być ponadto i realizatorką idei prawidłowego łowiectwa.

Czy może być?... Moim zdaniem powinna być.

Z doświadczeń ostatnich dziesiątków lat widzimy, że idee społeczne i polityczne dążyły zawsze do sięgnięcia w szeregi młodzieży, że organizacje będące tych idei praktycznym wcieleniem starały się o młodzieżową podbudówkę i tam, gdzie im się to udawało, tam organizacja była mocna i trwała a ruch masowy. Analogię pewną i na naszym terenie przeprowadzić można.

Idea prawidłowego łowiectwa i nierozerwalna z nią idea ochrony przyrody jest też do pewnego stopnia ideą społeczną i winna być umasowiona, a organizacja tej idei służąca, mocna i trwała.

Życzę wszystkim działaczom z pod znaku Polskiego Związku Łowieckiego matuzalowych lat, lecz idąc sami naprzód, nie możemy nie oglądać się na tych, którzy idą, czy będą szli za nami i po nas. Musimy myśleć o następcach, o kontynuatorach naszej pracy społeczno-łowieckiej. Musimy skorzystać z doświadczeń innych i stworzyć podbudówkę młodzieżową Polskiego Związku Łowieckiego.

Myśl, którą tu rzucam, nie jest nowa.

Przemknęła ona zapewne przez głowę niejednemu z działaczy ideowo-łowieckich. Doczekała się nawet swojej realizacji.

W początkach 1936 r. w Wilnie wśród młodzieży akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego znalazła się nieliczna grupa, która czuła, że polowanie podczas wakacyj i feryj świątecznych nie wystarcza, że trzeba wyciągnąć dłoń do działaczy Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich (nazwa z okresu przed utworzeniem P. Z. Ł. pozostała i później dla oznaczenia Oddziału P. Z. Ł. na woj. wileńskie i nowogródzkie) i im w ich pracy pomóc. I z drugiej strony, ze strony M. K. Pawlikowskiego, B. Świętorzeckiego, W. Korsaka i L. Pac-Pomarnackiego również wyszła podobna myśl.

Powstał Akademicki Związek Łowiecki, jednoczący w sobie dwojakie cele: kółka łowieckiego i pracy ideowo-łowieckiej. Cel pierwszy nie został zrealizowany z przyczyn poprostu materialnych — członkowie rekrutowali się przeważnie z warstwy niezamożnej i nie stać ich było na dzierżawę terenów, tymbardziej że większość miała tańsze lub nawet bezpłatne okazje prywatnie.

Jeśli chodzi o pracę ideowo-łowiecką, zamierzenia młodzieńcze były wielkie, realizacja ich słabsza. Przyznać trzeba, że złożyły się na to momenty raczej natury obiektywnej: nieprzychylne podejście władz uniwersyteckich, służba wojskowa kilku najczynniejszych, parokrotne zawieszenie na dłuższy okres czasu wykładów na uniwersytecie z powodu burd antyżydowskich i wreszcie nadciągająca burza wojena. Myśl słuszna trafiła nawet na grunt podatny, lecz klimat i warunki, a pozatym i trochę los okazały się niesprzyjające...

A jakby było dziś?

Oblicze dzisiejszej młodzieży akademickiej zmieniło się zapewne w porównaniu z czasami przedwojennymi. Młodzież z rodzin zamożnych ustąpiła miejsca dzieciom robotnika, chłopa i inteligenta pracującego, dzieciom hodowanym w twardych warunkach życiowych, zaostrzonych jeszcze okresem okupacji.

Jednak młodzież przedwojenna, zwłaszcza jej część, pochodząca ze środowiska ziemiańskiego, miała za sobą dobre tradycje łowieckie dziedziczone z ojca na syna, wykształcenie łowieckie otrzymała w domu rodzinnym. Młodzież dzisiejsza tych tradycyj łowieckich nie ma, ale posiada napewno mocne ukochanie i przywiązanie do ziemi ojczystej i czworonogich i skrzydlatych jej mieszkańców.

Te trwałe wartości dadzą się bezwątpienia przy umiejętnym podejściu wyzyskać w odpowiednim kierunku.

Podkreślić też jeszcze trzeba, że sześć lat wojny wyrwało z obecnej młodzieży akademickiej właśnie najcenniejszy okres. Normalnie młodzież byłaby napewno bardziej łowiecko uświadomiona i uaktywniona. Wszak Polski Związek Łowiecki działał z siłą przyciągającą. Ale wojna sprawiła, że uwaga młodzieży zajęta była innymi, ważniejszymi sprawami — walką o wolność.

To też tymbardziej należy przypuszczać, że rola łowiecka leży odłogiem i tymbardziej nasuwa się konieczność zajęcia się młodzieżą akademicką, bo wszak wśród niej, tych przyszłych budowniczych i sterników życia ogólnego, szukać należy i kontynuatorów naszego dzieła.

O stosunku młodzieży przedwojennej do łowiectwa pisał, patrząc być może zbyt przez ciemne okulary, jeden z jej przedstawicieli („Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie?" Nr. 5 (77) z 1936 r.). Jego zdaniem młodzież traktuje łowiectwo jako miłą rozrywkę, jak sport, gdzie kwestia strzelania i wzajemnego przestrzelania się, a zatym rekordu, gra rolę zasadniczą. Nie obchodzi jej ani hodowla zwierzyny, ani jej stan w łowisku, ani sposób prowadzenia polowania. Młodzież jest bardziej od starszego pokolenia zmaterializowana, pochłonięta przez świat techniki i nie rozumie i nie zna wielkiego świata przyrody. Nic ją nie obchodzi życie zwierząt czy ich męka, gdy strzał nie powoduje natychmiastowej śmierci.

O spowodowanie takiego stanu wini autor starsze pokolenie, które poprzez szkołę powszechną i średnią nie wychowało odpowiednio młodzieży.

Uwagi autora są, jak rzekłem, zbyt może pesymistyczne, nie można im jednak odmówić racji.

Czy do dzisiejszej młodzieży dadzą się one również zastosować? Sądzę, że tak. Dodałbym nawet, że sportowo-rekordowe nastawienie prowadzi często do kolizji z prawem łowieckim.

Dziś coprawda młodzież patrzy zapewne mniej sportowo a więcej handlowo na polowanie. Czytałem zimą w prasie warszawskiej o grupie studentów, która, jeżdżąc na polowanie, uczyniła sobie z tego przedsiębiorstwo dochodowe, będące bezmała źródłem utrzymania.

I my podkreślamy gospodarcze znaczenie łowiectwa, bo skończyły się czasy, gdy polowanie było tylko rozrywką wybranych. Ale gospodarcze nastawienie jest pożyteczne u myśliwego-hodowcy, bo ono go pcha do gospodarki planowej, intensywnej i racjonalnej i w konsekwencji podnosi stan zwierzostanu. Natomiast myśliwy-strzelacz, gdy przyjmie handlowe nastawienie, stanie na granicy kłusownictwa i będzie czymś podobnym do dzierżawcy gospodarstwa rolnego czy młyna w ostatnim roku dzierżawy.

I te uwagi przemawiają za tym, by się młodzieżą bliżej zainteresować.

— — — — — — — —

Jak sobie wyobrażam organizację odcinka młodzieżowego?

Chodzi mi o organizację, gdyż dotychczasowa propaganda i uświadomienie łowieckie młodzieży młodszej i starszej winno być nietylko utrzymane, lecz poszerzone i pogłębione. A więc należy wyciągnąć do młodzieży rękę.

Poprzez czynnych członków naszego Związku, mających taki, czy inny kontakt z wyższymi zakładami naukowymi i młodzieżą, poprzez terenowe organy P. Z. Ł., poprzez prasę łowiecką i ogólną, a zwłaszcza młodzieżową, należy wyłuskać w każdym z miast uniwersyteckich jednostki interesujące się myślistwem, jeżeli już nie łowiectwem, i rzucić im myśl, a może nawet wyjść z inicjatywą.

Jeszcze lepiej będzie, gdy inicjatywa wyjdzie od młodzieży.

W ten sposób możnaby w każdym mieście uniwersyteckim czy w uczelni — a siłą rzeczy będą to przedewszystkim wydziały leśny i rolny — stworzyć organizację młodzieżową. Organizacja taka musiałaby mieć, tak jak ongiś, dwojaki cel. Nie przypuszczam, że możnaby stworzyć organizację tylko społeczno-ideową, zresztą, kto wie, czy byłoby to nawet wskazane. Jest zupełnie zrozumiałe, że cel pierwszy, polowanie, wzbudzi większe zainteresowanie, jako cel bardziej realny i atrakcyjny.

Realiizacja tego celu będzie zapewne ze względów przedewszystkim materialnych nastręczała trudności. Tu należałoby pójść młodzieży z pomocą. Sądzę, że możnaby znaleźć w Ministerstwie Leśnictwa czy Rolnictwa i Reform Rolnych zrozumienie, aby dla młodzieży uzyskać tereny do dzierżawy czy możliwości odstrzału lub t. zw. wczasów łowieckich na ulgowych warunkach, tymbardziej, że przecież młodzież z wydziałów leśnych i rolnych — to przyszli pracownicy wyżej wymienionych resortów.

Gorzej byłoby z bronią. Tu już trudniej o ułatwienia finansowe, można tylko starać się ułatwić uzyskanie pozwolenia na broń. Poszlibyśmy (są to oczywista tylko moje prywatne sugestie) młodzieży na rękę, dopomagając jej do czynnego polowania, lecz chcielibyśmy wzamian wdzięczności.

Wdzięczności w postaci dobrej woli i pracy ideowej. W Kole Medyków na Uniwersytecie Warszawskim, np. praca społeczna jest warunkiem korzystania z dobrodziejstw materialnych i wakacyjnych (wczasy, wyjazdy zagranicę) Koła. Analogicznie możnaby i w naszym wypadku pomyśleć.

Proponowałbym, by pracujący czynnie, ideowo-łowiecko, akademicy mogli korzystać z wspomnianych ulg, by mocniejsze finansowo i ideowo kółka myśliwskie mogły na ulgowych warunkach przyjąć na członka czy zaprosić na polowanie powiedzmy po jednym studencie-działaczu.

Byłoby to nawet dobre, bo taki wybraniec, obcując ze starszymi kolegami z pod znaku św. Huberta, nasiąkałby atmosferą prawidłowego łowiectwa i dobrych obyczajów myśliwskich. Uzależnienie przyjemnego od pożytecznego byłoby nagrodą dla jednych, bodźcem do pracy dla drugich.

Pracę ideową młodzieży należałoby właściwie rozpocząć od wewnątrz t. j. od pogłębienia wiadomości z dziedziny łowiectwa i prawidłowego myśliwstwa. Bo wszak nie wszystkie wydziały i uczelnie mają wykłady z łowiectwa, a pozatym ogólny program nauki siłą rzeczy traktuje wykłady te jako dalszoplanowe i są one właściwie propedeutyką łowiectwa.

W dokształceniu teoretycznym Polski Związek Łowiecki służyć będzie napewno pomocą i wskazówkami.

Sprawdzianem opanowania teoretycznego musi być jakiś egzamin, pomyślny wynik którego otwierałby możliwości nabywania wiadomości w praktyce, o czym mowa wyżej.

Sądzę, że łowczy kółka, które przyjmie do siebie studenta, chętnie będzie mu udzielał wskazówek w terenie, a w niejednym wypadku znajdzie w nim zapewne energicznegog pomocnika. Młodych adeptów łowiectwa możnaby z powodzeniem użyć do takiej pracy jak walka z kłusownictwem, co w warunkach miejskich wyrażałoby się przedewszystkim w formie walki z nielegalnym handlem i podawaniem w restauracjach zwierzyny w czasie ochronnym.

I tu też sądzę, że nie jeden z łowczych powiatowych czy grodzkich chętnie by widział u swego boku młodych i energicznych ludzi na stanowiskach może nawet podłowczych. Okres wakacyj letnich mogliby młodzi myśliwi zużytkować nietylko na polowanie, ale i na propagandę racjonalnego łowiectwa w rodzinnej wsi czy miejscowości, w której będą spędzać wakacje, ferie czy praktykę zawodową.

Zechcą też z pewnością młodzi wypowiadać swe myśli drukiem. Ich inicjatywa i przedsiębiorczość musi wyrobić im sublokatorstwo w którymś z pism młodzieżowych, a sądzę, że i „Łowiec Polski" udzieli im swych szpalt.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiałby się projekt organizacji odcinka młodzieżowego. Z realizacją projektu w tej czy innej formie zwlekać, zdaniem moim, nie należy. Rozpoczyna się rok akademicki, do egzaminów wiosennych jeszcze daleko, sposobność więc po temu dobra.

Projekt swój, artykuł swój traktuję też jako dyskusyjny.

Byłoby mi nadwyraz miło, by ktoś z ideowych działaczy łowieckich zabrał głos w tej sprawie, naświetlając ją ze swego, być może trafniejszego i właściwszego punktu widzenia.

A jeszcze większą radość sprawiłoby mi, by myśli moje znalazły oddźwięk wśród młodych, by i oni wypowiedzieli, co o tym myślą.

Jerzy Oświecimski

W PALĄCEJ SPRAWIE

Zmiany ustrojowe, które nastąpiły w okresie powojennym w strukturze Rzeczypospolitej Polskiej, nie mogą pozostać bez wpływu na sprawy związane z naszym łowiectwem. Wpływ ten uwidocznić się musi w obowiązującym ustawodawstwie łowieckim, w organizacji Związku Łowieckiego, co już częściowo nastąpiło, jak również i w samej strukturze polującego dziś zespołu myśliwych.

Z przedwojennej praktyki i obserwacji wiemy bardzo dobrze, że łowiectwo w szerokim zakresie dostępne było jedynie dla pewnych klas, uprzywilejowanych pod względem majątkowym, które stać było na zakup wysokogatunkowych broni myśliwskich, odpowiedniej do tego amunicji, ekwipunku oraz dzierżawienie bardzo kosztownych nieraz terenów łowieckich. Stan średni, składający się z wolnych zawodów, urzędników wszelkiego rodzaju, kupców i rzemieślników, przyjmował również czynny udział w łowiectwie, ograniczyć jednak musiał swe namiętności łowieckie do posiadanych środków finansowych, co znajdowało swój wyraz w używaniu lichszych gatunków broni i amunicji, jak również w dzierżawieniu tańszych, a więc i uboższych w zwierzynę terenów łowieckich.

Dla sfer robotniczych i chłopskich, polowanie jako takie, z uwagi na wysokie koszta, było naogół niedostępne i jakkolwiek i z tych szeregów mieliśmy również wybitnych myśliwych, a nawet i zamiłowanych hodowców zwierzyny, to jednakże liczba ich w ogólnej masie braci łowieckiej stanowiła bardzo znikomy odsetek. Dla całokształtu tego faktycznego stanu rzeczy dodać jeszcze należy, iż ze sfer tych, nie mogących drogą legalną i naturalną zaspokoić swych zamiłowań łowieckich, rekrutowała się największa liczba zawodowych kłusowników, sidlarzy i wnykarzy.

Zdawałoby się, że ten istniejący przed wojną stan rzeczy powinien obecnie ulec radykalnej poprawie i że łowiectwo polskie, zasilone nowym elementem miłośników polowania, wkroczy na nowe, przez dzisiejszą rzeczywistość, dyktowane tory. Tymczasem dotychczas żadna zmiana nie nastąpiła i na horyzoncie naszych spraw łowieckich nie widać oznak, któreby wróżyły rychłe uporządkowanie tego zagadnienia. Jakkolwiek liczba członków Polskiego Związku Łowieckiego została obecnie znacznie powiększona, to jednakże liczba faktycznie polujących legalnie myśliwych, uprawiających polowanie w myśl obowiązującego prawa i zasad łowieckich, uległa znacznej redukcji.

Przyczyna tego anormalnego stanu rzeczy, wymagającego jak najszybszego uzdrowienia, leży z jednej strony w wytworzonych przez wojnę ciężkich warunkach bytowania, ze strony drugiej źródła jej tkwią częściowo w niedomaganiach oraganizacyjnych Związku, które wierzymy, że z biegiem czasu zostaną usunięte, ale również i w niepomiernych kosztach, związanych z uprawianiem polowania, a zwłaszcza w horendalnej wprost cenie naboi. Cena ta nie stoi w żadnym stosunku ani do rzeczywistych kosztów produkcji, ani do cen przedwojennych, ani do cen płaconych we wszystkich krajach świata. Za naboje, które kosztowały przed wojną zł. 18 gr 50 za setkę, dziś trzeba płacić zł. 5.500, z czego wynika, że mamy tu do czynienia z mnożnikiem dochodzącym prawie do 300%, czyli prawie dwukrotnie wyższym niż przy artykułach żywnościowych, jak np. masło, cukier itp. Wygospodarowanie powyższej sumy jest niemożliwe nie tylko z budżetu chłopa czy robotnika, ale nawet i z budżetu dobrze płatnego urzędnika państwowego.

W tym stanie rzeczy polowanie staje się znowu dostępne tylko dla nielicznej grupy wyjątkowo uposażonych osób lub dla paskarzy, oraz dla tych myśliwych, którzy polują na mięso i drogą spieniężania ubitej zwierzyny, pokrywają koszta polowania.

Ponieważ liczba osób, uprawiających dziś polowanie jest z podanych wyżej powodów ograniczona, a dzisiejszy brak tłuszczów i mięsa powoduje wysokie ceny na zwierzynę, sytuacja wykorzystywana jest przez kłusowników, nielegalnie polujących, oraz przez bardzo licznych, niestety, sidlarzy i wnykarzy. Jest rzeczą oczywistą, że w tych warunkach, wszelkie usiłowania, zmierzające do podniesienia zwierzostanu, tak koniecznego w naszym położeniu gospodarczym, pójdą na marne, o ile sytuacja nie ulegnie radykalnej poprawie.

Polski Związek Łowiecki, który powołany jest do roztaczania opieki nad tym naszym bogactwem narodowym, jakim jest zwierzostan, musi dołożyć wszelkich starań, by ten anormalny stan rzeczy doprowadzony został jak najprędzej do należytego porządku. Jeżeli bowiem zamierzenia, idące w kierunku obniżenia ceny naboi, nie odniosą należytych rezultatów, to łowiectwo nasze pozostanie domeną nielicznej klasy uprzywilejowanych finansowo myśliwych i licznej rzeszy zawodowych kłusowników, z zupełnym wyeliminowaniem świata pracy, który będąc wciągniętym w szeregi racjonalnie i prawidłowo polującej braci myśliwskiej, mógłby oddać nieocenione usługi w podniesieniu zniszczonego przez wojnę zwierzostanu.

Manowce, na które wkroczyliśmy, nie wróżą pomyślnych horoskopów dla naszego łowiectwa i dla naszego bogactwa narodowego w postaci zwierzostanu, na który zazdrosnym okiem patrzyli wszyscy nasi sąsiedzi. Musimy znaleźć środki i drogi, by wytworzona, groźna dla łowiectwa sytuacja uległa radykalnej poprawie.

Andrzej Śliwiński.

Z działalności Polskiego Związku Łowieckiego

PROTOKÓŁ

z Posiedzenia Rady Naczelnej Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 25 października 1947 roku.

Obecni: Prezes P. Z. Ł. Gen. Prof. Dr. Szarecki Bolesław, Wiceprezesi: Gen. Mossor Stefan, Niezabitowski Mieczysław, Głowacki Gabriel, Regulski Janusz. Skrzypek Józef.

Członkowie: Cybulski Kazimierz, Humiński Karol. Korolkiewicz Zbigniew, Kowalski Zbigniew, Minecki Apolinary, Mniszek Tchórznicki Mieczysław, Inż. Mrugasiewicz Wiktor, Nowak Maciej, Płk. Łętowski Sta-

nisław, Ostrowski Józef, Steliński Jan, Tallen Wilczewski Aleksander, Zaborowski Jan.

Prezesi Wojewódzkich Rad Łowieckich: Białostockiej — Erdman Karol, Dolno-Śląskiej — Szol Tadeusz, Gdańskiej — Henryk Górski, Kieleckiej — Ihnatowicz Stanisław, Krakowskiej — Lardemer Adam, Rzeszowskiej — Pyjor Stanisław, Śląsko-Dąbrowskiej — Rowiński Antoni, Warszawskiej — Kierwiński Włodzimierz,

Ponadto **Członkowie P. Z. Ł.:** Gieysztor Józef, Szymański Bronisław, Korsak Włodzimierz, Patalong Janusz, Serwiński Roman.

Przedstawiciel P. R. O. P. — Robel Jan

PORZĄDEK OBRAD:

1. Odczytanie protokółu z poprzedniego Posiedzenia.
2. Sprawozdanie z działalności Komitetu Wykonawczego.
3. Sprawy Kynologiczne.
4. Ustalenie składki członkowskiej na rok 1948.
5. Ustalenie czasów ochronnych na rok 1948/49.
6. Sprawa Ustawy Łowieckiej.
7. Wybór kandydatów do Komisji Rewizyjnej.
8. Rozpatrzenie wniosków zgłoszonych na Walne Zgromadzenie.
9. Wolne wnioski.

Do p-ktu 1. Poddano pod głosowanie wniosek nie odczytywania protokółu z ostatniego zebrania Rady Naczelnej wobec ogłoszenia go w Łowcu Polskim. Większością głosów wniosek ten przeszedł.

Do p-ktu 2. Kol. Kowalski odczytał sprawozdanie z działalności Komitetu Wykonawczego od dnia 29.VI. 47 r. do dnia 25.X. 1947 r. Sprawozdanie przyjęto.

Do p-ktu 3. Kol. Kowalski wyjaśnia, że regulamin Komisji Głównej Kynologicznej jest opracowany w takiej formie, że może być przesłany do Rad Wojewódzkich, wobec czego odpada potrzeba omawiania go na zebraniu. Wniosek ten przyjęto i punkt 3 spadł tem samem z porządku obrad.

Do p-ktu 4. Kol. Kowalski odczytał i uzasadnił preliminarz budżetowy odbudowy Siedziby P. Z. Ł. W dyskusji Kol. Zdrójkowski proponuje by na rok 1948 opodatkować ponownie jednorazowo po zł. 100 członków P. Z. Ł. na Fundusz Odbudowy Siedziby. Kol. Kowalski wyjaśnia, że nie zachodzi potrzeba takiego obciążania tą dodatkową składką, gdyż Fundusz Odbudowy Siedziby będzie zasilony wpłatami ze Spółdzielni „Jedność Łowiecka", uzyskanymi ze sprzedaży dubeltówek oraz pożyczką od Spółdzielni po 50 gr. od każdego sprzedanego naboju.

Kol. Mrugasiewicz zastrzega się, że nie należy opierać się na wpływach ze Spółdzielni, które mogą być nierealne, a jedynie jednorazowa składka da potrzebne wpływy. Kol. Ihnatowicz stawia wniosek przyjęcia do wiadomości projektu preliminarza Odbudowy Siedziby bez zmian, jako przemyślany gruntownie i dobrze uzasadniony. Wniosek zgodnie przyjęto.

Kol. Kowalski następnie odczytał preliminarz budżetowy „Łowca Polskiego".

Kol. Mrugasiewicz proponuje oddzielenie składki członkowskiej od opłaty na „Łowca". Kol. Tchórznicki jest przeciwny temu wnioskowi, wyjaśniając, że opłata na „Łowca" musi być integralną częścią składki członkowskiej, gdyż inaczej nie dotrze do każdego myśliwego. Kol. Ihnatowicz podkreśla, że składka członkowska musi być ściśle złączona z opłatą za prenumeratę „Łowca", zastrzega się jedynie nad niewłaściwie ujętym terminem „wydatki nieprzewidziane" i proponuje zamianę go na „rezerwa".

Kol. Zdrójkowski proponuje wydanie 6, a nie 12 numerów „Łowca" rocznie, lecz w lepszej szacie i o głębszej treści, rozsyłanych w terminie, oraz ustalenie składki normalnej zł. 800.— a ulgowej 400.—

Kol. Ihnatowicz odrzuca zarzut niepunktualnego rozsyłania „Łowca", gdyż pracę w terenie należy zorganizować tak, by wszyscy otrzymywali pismo Polskiego Związku Łowieckiego.

Kol. Minecki proponuje nakład nie 25 a 30 tysięcy egzemplarzy, by „Łowca" otrzymywali nietylko myśliwi Związku, ale i miłośnicy łowiectwa i obiecuje ze swej strony pomoc w drukowaniu „Łowca". Projekt uzasadnienia budżetowego przyjęto z poprawką podniesienia — w razie potrzeby — drukowania do 30 tysięcy egzamplarzy.

Z kolei Kol. Kowalski przeszedł do odczytania projektu preliminarza budżetowego Polskiego Związku Łowieckiego.

Kol. Ihnatowicz proponuje składkę w wysokości zł. 1.200.— i zniesienia składki ulgowej, z tym, że na „Łowca" opłata wyniesie zł. 400, dla Komitetu Wykonawczego zł. 120, dla Rady Wojewódzkiej zł. 200 i Rady Powiatowej zł. 480.

Kol. Patalong uważa, że podniesienie składki członkowskiej jest nieuzasadnione i że przez to Związek może stracić wielu członków.

Kol. Mrugasiewicz popiera wniosek Kol. Ihnatowicza, proponuje składkę zł. 1.200 z tym, że po odjęciu opłaty na „Łowca", 20% przypadnie dla Komitetu Wykonawczego, 30% dla Rady Wojewódzkiej i 50% dla Rady Powiatowej.

Kol. Zdrójkowski podtrzymuje projekt wysokości składki zł. 800 i zł. 400. Kol. Lardemer proponuje składkę normalną zł. 1.000 i ulgową zł. 600. Kol. Ihnatowicz stawia wniosek zniesienia składki ulgowej. Wniosek poddano pod głosowanie. Większością głosów wniosek ten upadł.

Następnie poddano pod głosowanie wniosek Kol. Lardemera ustalenia wysokości składki normalnej na zł. 1.000 i ulgowej na zł. 600, z czego ze składki normalnej na „Łowca" przypada zł. 400, 50% dla Rady Powiatowej, 25% dla Rady Wojewódzkiej i 25% dla Rady Naczelnej. Przy składce ulgowej podział procentowy ten sam i na „Łowca" zł. 400. Większością głosów wniosek ten przeszedł.

Kol. Ihnatowicz zastrzega sobie prawo podniesienia sprawy składki na Walnym Zgromadzeniu.

Do p-ktu 5. Podano do ogólnej wiadomości rezolucję Wojewódzkiej Rady Kieleckiej o zamknięciu w województwie kieleckim polowania na kuropatwy w roku 1948.

Do p-ktu 6. Wniosek Kol. Zdrójkowskiego podziału zwierzyny na 3 grupy poddany pod głosowanie większością głosów upadł. Kol. Mrugasiewicz stawia wniosek przeniesienia sarny do I grupy. Wniosek ten poddany pod głosowanie większością głosów upadł. W dalszej dyskusji nad Ustawą Łowiecką postanowiono, że wszystkie poprawki i wnioski będą odczytane na Walnym Zgromadzeniu w dniu jutrzejszym.

Do p-ktu 7. Listy kandydatów do Komisji Rewi-

zyjnej postanowiono na Walne Zgromadzenie nie przedstawiać.

Do p-ktu 8. Wnioski zgłoszone na Walne Zgromadzenie będą rozpatrywane w dniu Walnego Zgromadzenia t. j. dn. 26.X. br.

Do p-ktu 9. Kol. Kowalski stawia następujący wniosek:

W dniu 9 lipca 1948 r. przypada 25-lecie istnienia Polskiego Związku Łowieckiego, w związku z tą rocznicą Walne Zgromadzenie należy zwołać pod koniec czerwca przyszłego roku, oraz powołać Komitet uczczenia tej rocznicy. Wniosek Kol. Kowalskiego Rada Naczelna postanowiła przedstawić jak wyżej na Walnym Zgromadzeniu.

Kol. Ihnatowicz zaznaczył, iż na Walnym Zgromadzeniu poruszy sprawę legitymacji.

Na tym posiedzenie zamknięto. o godz. 20.30.

Przewodniczył:
Generał Bolesław Szarecki.

Sekretarzowała:
Kamila Wodelska.

Pismo do Ministra Przemysłu i Handlu
z dnia 5 grudnia 1947 r. Nr. 15626.

„W chwili ogólnej i poważnej obniżki cen przeprowadzanej konsekwentnie przez Rząd Rzeczypospolitej na wszystkich odcinkach gospodarki narodowej, Polski Związek Łowiecki pozwala sobie zwrócić się do Obywatela Ministra z prośbą o zrewidowanie i wydatne obniżenie cen ładunków śrutowych myśliwskich produkowanych przez Państwową Wytwórnię Prochu

Cena tych ładunków wynosi obecnie w dostawie wielkohurtowej zł. 45 za sztukę i jest zupełnie niewspółmiernie wysoka w stosunku do poszczególnych elementów wchodzących w skład ładunku śrutowego, jak łuska, proch, przybitka, spłonka i śrut, cena których to elementów na wolnym rynku nie przekracza dla konsumenta 22 zł. za jeden ładunek.

Również stosunek ceny ładunku śrutowego w stosunku do cen przedwojennych takiego ładunku, wynoszącego w hurcie w roku 1939 — 16 gr., wynosi 275 : 1. A zatym mnożnik ten jest wyższy od mnożników za najdroższe artykuły, jak skóra, słonina i inne.

Musimy też zauważyć, że pokrewne do ładunków myśliwskich artykuły pirotechniczne zostały przez Centralę Handlową Przemysłu Chemicznego obniżone w ubiegłym miesiącu o 30%.

Reasumując powyższe, pozwalamy sobie jeszcze na zakończenie podkreślić, iż łowiectwo w Polsce Odrodzonej stanowi poważną gałąź gospodarki narodowej i korzysta też z tego względu z wysokiego Protektoratu Marszałka Polski Michała Żymierskiego, wykonywane zaś jest przez najszersze warstwy społeczne, przeważnie urzędnicze, które na tak poważny wydatek, jaki stwarza zakup w detalu choćby jednej paczki, zawierającej 25 sztuk ładunków śrutowych — co wynosi powyżej zł. 3000, nie mogą sobie wogóle pozwolić.

Jesteśmy głęboko przekonani, że Obywatel Minister zechce się ustosunkować przychylnie do naszej prośby".

Prezes Polskiego Związku Łowieckiego
(—) Prof. Dr. Bolesław Szarecki
Generał Dywizji

Obchód św. Huberta w Olsztynie

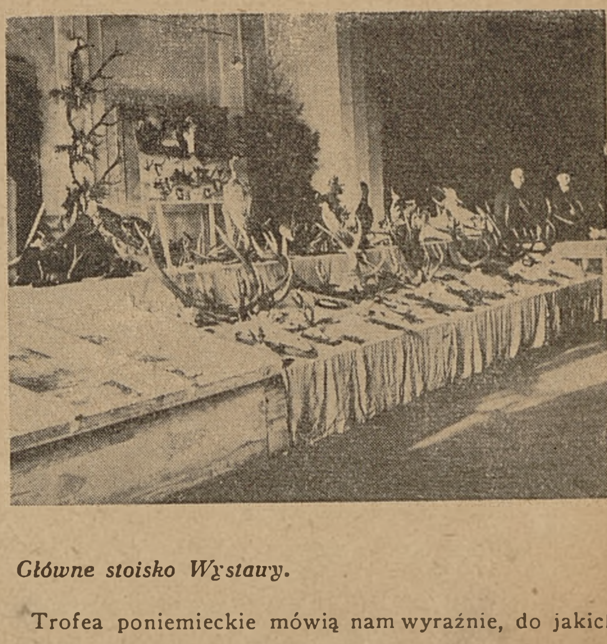
W dn. 4 i 5 listopada Olsztyńska Wojewódzka Rada Łowiecka zorganizowała uroczysty obchód święta Hubertowskiego. Po mszy św. w Katedrze św. Jakuba nastąpiło otwarcie pierwszej na tej połaci ziemi polskiej — odzyskanej po kilkusetletniej niewoli — wystawy łowieckiej w miejscowym teatrze „Młodych".

Po kilku okolicznościowych przemówieniach: Dyrektora Lasów Państwowych, Kolegi Nowaka, pułkownika Łętowskiego, przybyłego w imieniu Protektora Polskiego Związku Łowieckiego, Marszałka Polski Michała Żymierskiego, Komisarza Wystawy H. Knothego oraz przedstawiciela Polskiego Związku Łowieckiego Kolegi Z. Kowalskiego, Wojewoda Olsztyński przeciął wstęgę.

Widownia sali teatralnej jest tak duża, że w tej jednej sali udało się zmieścić na przygotowanych specjalnie stołach i przepierzeniach wszystkie nadesłane eksponaty. Na scenie zaś niezwykle pomysłowo i ładnie urządzono dioramę, przedstawiającą szałas myśliwego, polującego na jelenie w czasie rykowiska. Szałas został ustawiony na skraju świerkowego zagaju, przed wejściem do niego płonie ognisko ze szczap brzozowych, na dachu z Fałatowskim zacięciem rzucono dla wybielenia czaszek na słońcu zdobyte wieńce.

Trofea łowieckie na Pokazie zostały podzielone na dwa zasadnicze i odrębne działy: trofeów poniemieckich i trofeów zdobytych przez naszych myśliwych w latach 1945 — 1947.

Najliczniej i najgodniej reprezentowany jest na pokazie j e l e ń — można nawet powiedzieć, że Pokaz jest pokazem jelenia mazurskiego.



Główne stoisko Wystawy.

Trofea poniemieckie mówią nam wyraźnie, do jakich wyników i do jak kapitalnych wieńców można dojść

właściwą i długoletnią hodowlą. Cały szereg bowiem rosochatych i koroniastych szesnastaków, ba i dwunastaków dociąga do 200 p. Nadlera, bijąc barwą i uperleniem jelenie karpackie. Forma wieńca jest naogół piękna, z pewną jednak tendencją do wąskiego ustawienia u starszych sztuk, i z koronami skażonemi, niestety, domieszką krwi wapiti, które kształtują się przez to w wyraźne podwójne schodowe kielichy.

Z wieńców zdobytych po roku 1944 wystawiono około 20 par. Najlepsze z nich są: osiemnastak inż. O. Rudkego o wadze powyżej 9 kg, zdobyty w roku bieżącym, oraz czternastak inż. Górskiego zdobyty w N-ctwie Mikołajki w roku 1946. Oba te wieńce liczyć będą prawdopodobnie po 185—190 p. Nadlera. Dwunastak ubity również w b. r. przez dyrektora Nowaka, jest niewiele gorszy od obu wymienionych wyżej wieńców i też zasługuje na złoty medal.

Poza wymienionymi wieńcami, choć punktami nieco słabszy, uważany być winien za najgrubszego, najciekawszego i najwłaściwiej odstrzelonego jelenia na wystawie (prawdopodobnie wieczny ósmak) Kol. Zygmunta Metziga z N-ctwa Jeziorno. Wieniec ten jest wspaniały, wiśniowo-hebanowego koloru, nieprawdopodobnie uperlony, o grubości ręki mężczyzny i wadze rekordowej na ósmaka 8 kg. Nadoczniaki mierzą do 50 cm. długości, wiek byka oceniam na 12—13 lat.

Na specjalną jeszcze wzmiankę zasługuje stoisko Marszałka Polski Michała Żymierskiego, który zechciał wystawić w niem dwa odstrzelone na Mazurach w N-ctwie Przemysławów byki, wstecznego, wybitnie wysokorogiego ósmaka, strzelonego w r. 1946 i dziesiątaka zabitego w b. r.

Łoś reprezentowany jest na pokazie bardzo słabo prze trofea poniemieckie. Mazurskie łosie wykazują typ wyraźnych łopaciarzy o dużej ilości krótkich pasemek i barwie jasnej.

Daniel reprezentowany był również nielicznie. Przedwojenne trofea mówią o łopatach przeciętnych i poprawnych.

Bardzo dobry był pomysł, aby pokazać zwiedzającym ptaki łowne, występujące na ziemiach Mazurskich. Zgrupowano egzemplarze przeważnie bardzo dobrze wypchane. Z rzadkich okazów można było oglądać kormorany, z pospolitych — dwa gatunki jarząbków, jeden z łapkami porośniętemi piórkami do końca palców, drugi tylko do stawu kolanowego.

B i b l i o g r a f i a łowieckaześrodkowana w dwóch solidnych gablotkach za szkłem była różnorodna, bogata i obejmowała dział od Bobiatyńskiego i Spausty aż do powojennych wydawnictw Polskiego Związku Łowieckiego. Również wystawione fotografie były wysokiej klasy. Między zdjęciami z czasów przedwojennych stanowiła ciekawy dokument fotografia ostatniego rysia, który zdobyty był na Mazurach w r. 1925 w N-ctwie Ostruda.

Spółdzielnia „Jedność łowiecka" dała dwie gabloty z bronią i amunicją, urządzone estetycznie i pomysłowo. Szkoda tylko, że brak było ładunków śrutowych i kul Brenecke dla licznie zapytujących się o amunicję kolegów, przybyłych nieraz z bardzo odległych terenów o trudnej komunikacji.

Z wykresów, znajdujących się na pokazie, zwracały uwagę dwa. Jeden schemat rozmieszczenia zwierzyny na Mazurach, który mówił, że łosie stoją jeszcze w 3 ostojach w L. P., a bobry, niestety kanadyjskie, mają swe żeremia w N-ctwie Kudyby. Jelenia spotykamy na całym prawie terenie województwa w trzech specjalnie wielkich skupiskach: Puszcza Rominteńska, Ostrudzka i Jańsborska. Ciekawie były też na tej mapie przedstawione szlaki ciągu słonek, które przelatują trzema drogami przez Mazury.

Drugi wykres był jeszcze ciekawszy, mianowicie pokazywał on, że odstrzał roczny zwierzyny łownej w Regencji Olsztyńskiej równał się całemu jej stanowi obecnemu w Województwie Olsztyńskim.

Jest to dla nas groźne memento, a jednocześnie bodziec do intensywnej pracy nad zachowaniem i podniesieniem wzwyż zwierzostanów Mazurskich.

Jak widać z tego krótkiego przeglądu uboga glebowo, o słabym przemyśle i ciężkich warunkach klimatycznych ziemia Mazurska, ma jednak wspaniałe lasy i jeszcze wspanialsze możliwości łowieckie.

Na pierwszy plan wysuwa się tu jeleń. Jeleń o charakterystycznym typie i rzadkiej piękności wieńca. Jeleń, który winien nam godnie zastąpić jelenia karpackiego.

Pozostałe w lasach wyjściowe pogłowie, stanowiące doskonały materiał hodowlany, napawa nas otuchą na przyszłość. Kłusownictwo przestało już grozić jeleniom jako niebezpieczeństwo masowe, występujące nagminnie i stale. Pozostała sprawa trzecia, sprawa hodowli, która obecnie, poza ochroną, ogranicza się niestety do odstrzału.



Szałas myśliwego w okresie rykowiska

I tu Pokaz uczy, a po to został on właśnie urządzony, że odstrzeliwujemy jelenie źle. Odstrzeliwujemy bez planu, przygodnie, często przyszłościowo najlepsze byki.

Do roku bieżącego sprawa ta, choć w zasadzie postawiona błędnie, nie była jednak ani groźna ani szkodliwa, bowiem padało rocznie legalnie wszystkiego 20 do 30 byków. Jednak oczy myśliwych na Mazury i na mazurskiego jelenia są zwrócone, na przyszły rok może nadejść taki run na jelenie mazurskie, jak w tym roku można było już to zaobserwować w Dyrekcji Poznańskiej, gdzie poszczególni myśliwi zakupywali i odstrzeliwali po 4 ba!, po 6 jeleni na rykowisku.

A dzieje się tak dlatego, że odstrzał byków w L. P. postawiony jest jako zasada z gruntu i w założeniu

swym błędnie, i wygląda w praktyce następująco: myśliwy zakupuje odstrzał jelenia, dopłaca za każdą parę odnóg ponad dziesiątaka, no i naturalnie rżnie najlepszego ze spotkanych, choćby byczka młodziaka i jelenia przyszłościowego.

Tymczasem sprawa winna być tak postawiona, że myśliwy, tylko wysokiej klasy jeleniarz, kupuje (jeśli budżet Ministerstwa Lasów koniecznie już tego wymaga) odstrzał jelenia, ale tylko t e g o jelenia, którego mu wskaże dany nadleśniczy lub wyznaczony przez niego zastępca. Bo hodwla jelenia i odstrzał jelenia mierzy się nie poszczególnymi latami, ale dziesiątkami lat, mierzy się planem długofalowym. Zatem dysponowanie odstrzałem jakościowym musi pozostawać w ręku niepodzielnego gospodarza łowiska — Nadleśniczego. Tam zaś, gdzie niema odpowiednio wyszkolonego pod względem łowieckim leśnika do podprowadzania, określania jakości i wskazania odstrzałowego byka — odstrzał kupny powinien być wogóle zaniechany.

Wykorzystując przerwę w oglądaniu Wystawy, kol. Panfil wygłosił interesujący odczyt na temat: „Łowiectwo na terenie Województwa Olsztyńskiego", zaś nazajutrz odbył się przegląd psów myśliwskich na posesji Dyrekcji Lasów Państwowych.

Na przybyłych z rozmaitych stron kraju kolegów-myśliwych obchód św. Huberta, zorganizowany z inicjatywy i staraniem kol. H. Knothego, wywarł jak najlepsze wrażenie i zasługuje na najszersze naśladownictwo.

Z. K.



Uroczystość poświęcenia broni w Przeworsku

„DZIEŃ MYŚLIWEGO W NYSIE".

Ruchliwy Łowczy Powiatowy, Kolega J. Podgórny, zorganizował w Nysie z okazji Św. Huberta „Dzień myśliwego", połączony z Nadzwyczajnym Zgromadzeniem członków. Zebranie zgromadziło 90 osób. Po wysłuchaniu sprawozdania Łowczego z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej i ciekawego referatu Kol. A. Stolarczyka na temat ochrony zwierzyny, Zebranie na wniosek przewodniczącego, Kol. Podgórnego, uchwaliło szereg postulatów, a w tym:

1) opisanie przez każdego członka najciekawszego przeżycia myśliwskiego,
2) dopilnowanie należytego wypełnienia przez gromady wiejskie ankiety rozpisanej przez Starostę w sprawie ilostanu zwierzyny na terenie powiatu,
3) zobowiązanie się członków do zaopatrzenia się w ciągu 1948 w psa myśliwskiego,
4) przystąpienia niezwłocznie do gromadzenia paszy dla zwierzyny na okres zimowy,
5) przekazywanie niezużytkowanych skór do Centrali Skór Surowych przy rzeźniach,
6) przygotowanie się kandydatów na członków P. Z. Ł. do egzaminów, którym będą się musieli poddać,
7) wszczęcie starań o przejęcie kościołka przy ul. Prądnickiej w Nysie, odnowienie go i poświęcenie czci św. Huberta.

Cienie i blaski hodowli psów myśliwskich

(Artykuł dyskusyjny).

Jeżeli każda prawie hodowla zwierząt daje mniejsze lub większe dochody, jedna chyba hodowla psów myśliwskich była przed wojną i jest również obecnie interesem czysto deficytowym. Jest to zresztą sprawa nie przynosząca rozczarowania zamiłowanym hodowcom i tylko nowicjusz, dowiadując się o szczeniaki, a usłyszawszy o cenach od 3000—4000 zł. wzwyż za rasowego szczeniaka, może przypuszczać, że hodowla psa myśliwskiego jest złotym jabłkiem.

Może to wydać się niejednemu myśliwemu paradoksalnym, że w dzisiejszych czasach, gdy psów myśliwskich rasowych jest znikoma ilość i gdy, zdawałoby

się, że zapotrzebowanie na psy przekroczy podaż, mimo wszystko trudno nieraz, wyhodowane dużym nakładem zabiegów i środków finansowych rasowe szczenięta, rozprzedać.

Czemu to przypisać? Jedną z przyczyn jest brak zainteresowania dla psa myśliwskiego u myśliwych. Nowo kreowany myśliwy, który, gdyby nie musiał, wogóle nie wpisałby się nawet do P. Z. Ł., po zapłaceniu składki członkowskiej czemprędzej stara się przed sezonem o kartę na broń myśliwską, przylepia się do jakiegoś właściciela terenu łowieckiego na wspólnika i czuje się zupełnie zadowolony, kropiąc w sezonie zwierzynę na prawo i lewo. Po sezonie jakoś znów zapomina o odnowieniu składki członkowskiej do P. Z. Ł. na przyszły rok, dopiero przed nowym sezonem zaczyna się historia na nowo.

Mamy u nas takiego jegomościa, starszego przedwojenego myśliwego - wolontariusza. Z wielką biedą zapisał się w r. 1946 na członka do P. Z. Ł. i miał pretensję, że z samą legitymacją nie może polować. W r. 1947 napomniany, żeby odnowił wkładkę członkowską, skrzywił się, że teraz nie warto polować, gdyż tylko co krok to składki, opłaty, datki itd., ale przed sezonem widocznie się rozmyślił, gdyż znów zaglądnął do nas, usprawiedliwiając się złym stanem zdrowia. Czy taki myśliwy nabędzie psa myśliwskiego i czy wogóle zasługuje na miano myśliwego, a zwłaszcza na członka P. Z. Ł.? Wszyscy Polacy mają w sobie pewne zamiłowanie do psów, podobnie jak i do koni, tylko nie doceniamy wartości psa myśliwskiego i nie rozumiemy jego znaczenia w prawidłowo wykonywanym łowiectwie.

Drugą przyczyną, która według mnie ma decydujące znaczenie, jest brak w ustawie łowieckiej obowiązku dochodzenia rannej zwierzyny przy pomocy ułożonego psa myśliwskiego. Jeżeli w ustawie otaczamy zwierzynę łowną troskliwą opieką, jako obiekt polowania, to bądźmy konsekwentni dalej i w czasie polowań postępujmy z nią nie jako z przedmiotem martwym, lecz jak z istotą żywą, czułą na zadany jej ból. Czy to jest tak duży ciężar posiadać ułożonego psa myśliwskiego? Sądzę, że nie, przeciwnie jest to przyjemność połączona ze szczerym zadowoleniem, że spełniamy obowiązek prawdziwego myśliwego względem rannej zwierzyny.

Trzecią przyczyną braku zainteresowania na rynku psiarskim jest brak normalizacji w hodowli psa myśliwego, jak również brak organizacji hodowców.

Nad tą sprawą chcę się dłużej zatrzymać.

Zdawałoby się, że dla hodowców psa myśliwskiego nakazem obecnej chwili jest wyhodować jak najwięcej psów myśliwskich, obojętnie jakiej rasy. Otóż jest to według mnie złe podejście do sprawy. Już przed wojną nawoływano do pewnej normalizacji hodowli psa myśliwskiego, dziś sprawa ta dojrzała i powinna wreszcie wejść w praktykę. O co tu właściwie chodzi? Ażeby to wyjaśnić należałoby podzielić psy myśliwskie na pewne grupy według zastosowania oraz przedstawić wartość poszczególnych ras dla dzisiejszego łowiectwa.

Wyżły ogólnie możemy podzielić na dwie grupy, a to wyżły kontynentalne oraz wyżły angielskie. Do pierwszej grupy z najważniejszych ras należą: wyżły kontynentalne krótko, szorstko, ostro i długowłose, gryfony i pudel-pointery; do drugiej grupy — pointery, settery angielskie, irlandzkie i szkockie. Z norowców wymienię jamniki krótko, szorstko i długowłose, foksteriery gładko i ostrowłose, teriery niemieckie (Jagdteriery), z płochaczy — springer i cockerspaniele oraz niemieckie płochacze (Wachtelhunde), z posokowców — bawarskie i hanowerskie posokowce, z gończych — hariery i foxhoundy angielskie.

Mamy więc przed sobą ogólnie podany szereg ras, których zastosowanie jest w poszczególnych kierunkach łowiectwa uznane, natomiast hodowla tych wszystkich ras jest u nas niekonieczna. Weźmy pod uwagę wyżły kontynentalne.

Zastosowanie ich jest powszechne, są to bowiem wyżły typowo użytkowe do pracy na lądzie, w wodzie i w lesie, w warunkach więc przeciętnego myśliwego, który musi się zadowolić jednym psem do wszystkiego, mają szczególne zastosowanie.

Najbardziej rozpowszechnione i posiadające najwięcej zalet w tym kierunku, to kontynentalne wyżły krótko i szorstkowłose, psy naprawdę ze wszechmiar dobre, lekkiej lecz silnej budowy, z dobrymi chodami i wiatrem, mają przytem wrodzone zamiłowanie do pracy w wodzie i w zaroślach, pozatym wrodzoną nienawiść do drapieżników, oraz skłonność do aportu. Nie widzę więc naprawdę powodu rozrzerzać hodowli tej grupy wyżłów na inne pokrewne rasy i stwarzać warunki do różnych nieprzemyślanych krzyżówek. Hodowanie w czystości tych dwu ras, t. j. wyżła kontynentalnego krótko i szorstkowłosego, umożliwi podniesienie ich do wysokiego poziomu, dorównującego w pracy w suchym polu wyżłom ras angielskich. Sama hodowla dwu ras zamiast pięciu czy sześciu jest dużo łatwiejsza, ma się bowiem do użytku więcej materiału rozpłodowego, a nawet gdybyśmy sprowadzili kilka reproduktorów, to mając do czynienia z dwoma rasami, potrafimy z kilku reproduktorów obojga płci wyhodować cały szereg dobrych psów użytkowych, zaopatrując tym samym szybciej myśliwych w wartościowy materiał. Główna Komisja Kynologiczna z oddziałami po Województwach musiałaby tylko przestrzegać hodowli w czystości rasy, bez użycia krzyżówek między temi dwoma rasami, co tylko niepotrzebnie popsułoby różnice w uwłosieniu psów.

Podobnie ma się rzecz z wyżłami ras angielskich. Wyżły angielskie, jako psy jednostronne, biją inne rasy wyżłów w pracy w suchym polu, będąc pod tym względem nie do pobicia. I jeśli w tych rasach uznajemy tak wybitne zalety, jak chody, wiatr i wspaniałą stójkę, to dwie z nich, a to pointery i settery angielskie są par exellence typowymi wyżłami do suchego pola i kontynuowanie hodowli tych dwu ras powinno zaspokoić moim zdaniem zapotrzebowanie wśród myśliwych na psy ras angielskich. Restytuowanie polowych setterów szkockich oraz irlandzkich, które dzięki efektownym sukienkom stały się w 75% psami pokojowymi, naraziłoby myśliwych na różne przykre rozczarowania, gdyż zamiast psów do polowania zaopatrywaliby się w kosztowne pokojowce.

Już przed wojną, jeśli przypominamy sobie próby wiosenne czy jesienne dla wyżłów ras angielskich, to konstatujemy, że poza pointerami i setterami angielskimi użyte sporadycznie settery irlandzkie czy szkockie nie okazały się groźnymi dla tych pierwszych, wykazując zanik wartości polowych.

Obecnie, gdy dla restytuowania wyżłów rąs angielskich musimy się uciekać do kosztownego impor-

tu, lepiej nie rozczepiać swych poczynań hodowlanych i trzymać się tych dwu ras.

Z norowców, które obecnie znajdują szerokie zastosowanie, wchodzą w grę cztery rasy, a to jamniki krótko i szorstkowłose oraz foksteriery gładko i ostrowłose. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w pracy pod ziemią czy na powierzchni za drapieżnikami i w walce z nimi, a często również w pracy na czarną zwierzynę pies z krótkim owłosieniem ponosi szereg ciężkich obrażeń i skaleczeń, a w zimie twarde i gęste owłosienie daje mu skuteczną ochronę przed mrozami, widzimy, że i z tych ras wybijają się na pierwsze miejsce jamniki szorstkowłose oraz foksteriery ostrowłose. Będą to więc znów dwie rasy, które zupełnie wystarczą dla naszych myśliwych w zastosowaniu do drapieżników czy na dziki.

Z płochaczy stare rasy springer czy cocker-spanieli są nie do zastąpienia i będą nadal spełniały swą ważną rolę. Myśliwi powinni się zapoznać bliżej z temi dwiema rasami i wziąć hodowlę ich w swe ręce, zamiast, żeby tak pożyteczne w praktyce myśliwskiej psy, stawały się psami tylko pokojowymi.

Rasy posokowców—bawarska i hanowerska są również jedyne i nie do zastąpienia. Należałoby tylko rozpowszechnić te psy tam, gdzie tego wymaga obecność grubej zwierzyny.

Z ras psów gończych, obecnie mało używanych, hariery i foxhoundy wystarczą zupełnie do zastąpienia różnego rodzaju pokurczów i kundysów, używanych dotąd jako gończe niby to rasy polskiej, kostromskiej, kurlandzkiej itd.

Byłby to krótki przegląd wszystkich grup psów myśliwskich i proponowane usystematyzowanie hodowli przy użyciu jak najmniejszej ilości ras, aby wreszcie wyjść z tego chaosu różnych ras i krzyżówek. Lepiej hodować mniej ras, natomiast hodować naprawdę rasowe psy.

Jeśli mówimy już o normalizacji hodowli psów myśliwskich, która obecnie powinna, na skutek wznowienia hodowli psów myśliwskich , mieć zastosowanie od samego początku, to musimy poruszyć sprawę organizacji hodowli psów myśliwskich. Istniejąca do niedawna Sekcja Kynologiiczna przy P. Z. Ł. w Warszawie zmieniła nazwę na Główną Komisję Kynologiczną P. Z. Ł. i w ramach statutu P. Z. Ł. objęła wszystkie sprawy dotyczące psiarstwa myśliwskiego, a zwłaszcza najważniejszą sprawę t. j. prowadzenie ksiąg rodowodowych. Niestety, ta najważniejsza sprawa jak dotąd szwankuje, gdyż np. Ośrodek w Goraju jak i Oddział Wielkopolski P. Z. Ł. prowadzą we własnym zakresie księgi rodowodowe1), a nawet starzy hodowcy nie wpisują swoich psów do księgi rodowodowej G. K. K. przy P. Z. Ł.

W tym właśnie leży główny błąd wszystkich hodowców, gdyż mając własną organizację, która mogłaby ująć wszystkie sprawy, dotyczące czy to sprzedaży czy nabycia psów myśliwskich, czy wyszukania typowych reproduktorów itd., błądzą dalej w ślepej uliczce, nie wiedząc, co zrobić nieraz z wartościowym materiałem, względnie z rasowymi szczeniętami, z drugiej zaś strony myśliwi nie wiedzą, gdzieby się zaopatrzyć w takowy. Hodowcy również oczekują od G. K. K. jakiegoś ożywczego tchnienia i otrząśnięcia się już z dwuletniej fazy początkowych prac organizacyjnych. Chcielibyśmy wiedzieć, jakie są zamierzenia Komisji w celu wznowienia hodowli psów myśliwskich, jaki kierunek pragnie Komisja nadać hodowli, jaki zakres działania mają Wojewódzkie Komisje i Podkomisje Powiatowe Kynologiczne, a więc jak zorganizowana będzie cała hodowla psów myśliwskich.

Dotąd jakoś cicho, nic nie wiemy konkretnego, nic więc dziwnego, że sprawa rejestracji psów myśliwskich, jeśli nie stanęła na martwym punkcie, to jakoś nie postępuje naprzód. A przecież całą nadzieję my, hodowcy, pokładaliśmy właśnie w nowozorganizowanej Komisji Kynologiicznej, gdyż na nic nie zdadzą się nasze wysiłki samopas bez poparcia całego łowiectwa polskiego, poparcia, które może właśnie ta Komisja zorganizować. Cóż może właściciel rasowej suki zrobić, oglądając się bezradnie za jakimś dobrym reproduktorem i wreszcie kryje ją albo pierwszym lepszym dostępnym psem, względnie, co gorsza, psem innej rasy.

Interesując się temi sprawami i będąc fanatykiem hodowli psów myśliwskich, spotykam się z podobnymi wypadkami co krok. Ażeby jednak G. K. K. mogła spełniać skutecznie swe zadanie, muszą wreszcie właściciele rasowych psów myśliwskich pokonać swą obojętność, a może i lenistwo i zarejestrować je w księgach G. K. K.

Poza tym P. Z. Ł. powinien zabronić bezwzględnie prowadzenia innych ksiąg rodowodowych poza prowadzoną przez Główną Komisję Kynologiczną.

Reasumując powyższe wywody zbiorę je w następujące główne punkty:

1) Należy stale uświadamiać myśliwych o ich nieetycznym postępowaniu z ranną zwierzyną łowną, zaś ustawa łowiecka powinna zalecić używanie psów myśliwskich dla wypracowywania postrzałków.
2) Hodowcy psów powinni znormalizować hodowlę ograniczając ją do ras:
   wyżły kontynentalne: krótko i szorstkowłose,
   wyżły angielskie: pointery i settery angielskie,
   norowce: jamniki szorstko i foksteriery ostrowłose,
   płochacze: springer i cocker-spaniele,
   posokowce: bawarskie i hanowerskie .
   gończe: hariery i foxhoundy.
3) Główna Komisja Kynologiczna powinna:
   a) ogłosić na łamach Ł. P. plan reorganizacji hodowli psów myśliwskich i sposób prowadzenia księgi rodowodowej,
   b) wydawać periodyczne komunikaty zarejestrowanych psów myśliwskich, oraz kopulacji i miotów,
   c) ustalić plan działania na przyszłość, aby nie dopuścić do zaniku hodowli psów myśliwskich,
   d) ustalić i ogłosić stały terminarz roczny mających się odbywać wystaw psów myśliwskich, wiosennych i jesiennych prób dla wyżłów, prób dla norowców i prób dla posokowców.

Jeśli nadal będziemy z dotychczasową obojętnością podchodzić do spraw hodowli psów myśliwskich i jeśli hodowcy nie zorganizują się w zdyscyplinowaną świadomą swej odpowiedzialności przed światem łowieckim organizację, hodowla psów myśliwskich nie posunie się naprzód.

Klikowa, we wrześniu 1947 r. **K. Tarnowski**

1) Ośrodek w Goraju wpisał już swe psy do księgi rodowodowej G. K. K.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI, Oologia ptaków łownych, Warszawa, nakładem Polskiego Związku Łowieckiego, 1947, in 8, str. 67 + 5 nlb., ryc. 21, z przedmową prof. J. Gieysztora.

Autor znany jest dobrze ogółowi myśliwskiemu z działalności literackiej. Przed wojną zajmował się żywo bieżącym piśmiennictwem i w prasie fachowej umieszczał częste recenzje. Przedwojenni czytelnicy „Łowca Polskiego" pamiętają te zajmujące artykuły o nowościach wydawniczych, jak np. o utworach słynnej Szarej Sowy (Grey Owl) wielkiego przyjaciela bobrów. Już z tych recenzji można było wyczuć zamiłowanie ich autora do wszelkich zjawisk związanych z życiem zwierząt. Dlatego też zapewne nie zatrzymały go dłużej próby podjęte swego czasu na polu bibliografii. Nie zaspakajały one jego właściwych zainteresowań.

Tak się złożyło, że na jakiś czas przed drugą wojną światową wyłonił się w Polsce problem Piżmaka. Problem ten, ciekawy ze stanowiska przyrodniczego, groźny ze stanowiska gospodarczego, pasjonujący, bo nowy i nieco egzotyczny,— dawał szerokie pole do badań i do działania w zetknięciu z żywą naturą. Tchórznicki zaangażował się z zapałem do tej roboty przy boku uczonego i wytrawnego przyrodnika, Andrzeja Dunajewskiego. Owocem były dwie prace o Piżmaku: jedna wykonana (w czasie wojny) wspólnie z W. Kołderem, druga samoistna i oparta przeważnie na własnych badaniach *).

Wielką osobistą korzyścią autora, odniesioną w tym okresie, było zapoznanie się z metodyką, potrzebną do prac o charakterze badawczo-przyrodniczym. Wydana obecnie Oologia, jest dalszym wyrazem zainteresowań Tchórznickiego na polu przyrodniczo-łowieckim. O zamiarze napisania Oologii polskich ptaków łownych dowiedziałem się od niego jeszcze przed wojną. Pomyślałem wówczas, że jednak trzeba mieć odwagę, aby się podjąć tematu tak trudnego, tematu wymagającego specjalnych studiów, nie mówiąc już o tym, że jest on w polskim piśmiennictwie reprezentowany przez klasyczne dzieło Tyzenhauza, niedoścignionej doskonałości atlas jaj ptasich, wykonany podług artystycznych ręcznych malowideł akwarelowych z natury, a z tekstem Taczanowskiego (**Oologia ptaków krajowych**, Warszawa 1862).

Okres wojenny był jednak okresem dojrzewania zamysłu Tchorznickiego, a obcowanie ze środowiskiem naukowo-przyrodniczym powstałym dokoła osoby Dunajewskiego i wejście w skład jego ekipy, przyczyniło się ostatecznie do realizacji tego zamysłu. Przebyta szkoła musiała się przyczynić do wzbogacenia wiadomości, a więc do podniesienia kwalifikacji i samopoczucia.

Wrażenie ogólne z nowej tej pracy jest dodatnie.

W słowie wstępnym autor uzasadnia wskazania, jakie go skłoniły do jej napisania. Nie zupełnie można się z nim zgodzić. Powołując się na znakomite dzieło Tyzenhauza-Taczanowskiego, wypowiada Tchorznicki opinię, że ma ono „dwa poważne błędy". Jakie? Po pierwsze, że omawia tylko ptaki Litwy i Królestwa Polskiego, po wtóre, że jest „przeładowane materiałem", bo zbyt wiele miejsca zajmuje opis ptaków, co w oologii jest zbyteczne, a nawet „rozprasza uwagę". Otóż okoliczność, że Tyzenhauz i Taczanowski opierali się na spostrzeżeniach czynionych w Królestwie Polskim i na Litwie, i że zasięg ich obserwacji nie odpowiada dzisiejszym granicom kraju, nie jest „wadą" dzieła, pisanego w drugiej połowie XIX wieku. Zresztą tak wtedy, jak i dziś, nie tak wiele naliczyć można gatunków, które by występowały tylko w jednej dzielnicy. Na ogół powtarzają się one tak w obrębie ówczesnych, jak obecnych granic Polski. Uzupełnienia lub skreślenia łatwo przeprowadzić. Co zaś do gniazd i jaj, to, z małymi wyjątkami, mają one ten sam wygląd w Królestwie i w Małopolsce. Różnice zachodzą w ilości jaj i w terminie lęgu. Tak np. inaczej lęgnie się kuropatwa podhalańska od litewskiej. Większe odmiany występują w upierzeniu ptaka, ale opisywanie ptaka uważa Tchorznicki za niepotrzebne w oologii. Jestem innego zdania. Zupełne pominięcie tego opisu uważam nawet za brak faktyczny. Sam Tchorznicki przyznaje, że wobec znacznego nieraz podobieństwa jaj i gniazd różnych gatunków, musimy się „uciec do wyczekania powrotu ptaka do gniazda". Jeżeli tak, to cóż nam przyniesie powrót ptaka, jeżeli jego wyglądu nie opisano? Praca Tchorznickiego nie jest przecież przeznaczona dla zawodowych ornitologów, ani dla wytrawnych myśliwych. Raczej dla mniej wprawnych. A wiemy z doświadczenia, jakie błędy zdradzają myśliwi w oznaczaniu ptaków na każdym niemal kroku.

Dzieło Tyzenhauza-Taczanowskiego nie może być w ogóle przedmiotem porównania w danym wypadku. Jest to dzieło czysto naukowe, gdy Tchorznickiemu chodzi o podręcznik do użytku praktyczno-myśliwskiego. Można więc co najwyżej powiedzieć, że tamto nie nadaje się do takiego użytku, pomijając jego wielką rzadkość dzisiejszą. Podobnież nie nadaje się do takiego użytku **Oologia** Jakuba Teodora Kleina, znakomitego zoologa gdańskiego, który należy po części do polskiej bibliografii, gdyż inne jego dzieło: **Stemmata avium** (Znamiona ptaków) uwzględnia obok niemieckiej i łacińskiej, terminologię polską.

Oologia Tchorznickiego ma wartość niezaprzeczoną. Nie powiem, żeby to był klucz zupełnie wystarczający do oznaczania gniazd i jaj ptasich. Do tego brak tej pracy rycin instruktywnych. Te, które w niej znachodzimy, mają raczej wartość dekoracyjną. Można się w nich zorientować chyba, jeżeli chodzi o charakter gniazda, ale różnice między jajami poszczególnych gatunków wypadły na zdjęciu fotograficznym zbyt mdło: a przy tym różnice w wielkości jaj są nieproporcjonalne (porównajmy np. wielkość jaja czajki (ryc. 21) z jajem bociana (ryc. 19). Zdjęcia te właściwie nic nie mówią i początkującemu myśliwemu nie dadzą nawet aproksymatywnej wskazówki. Oologia bez atlasu i to kolorowego, gdzie jeden rzut oka na jajo jest bardziej pouczający, niż najudatniejsze opisy, spełnić może zadanie tylko połowicze. Wydanie atlasu jest obecnie oczywistą mrzonką. Można tego naszemu autorowi życzyć na dalszą przyszłość.

Mimo tego, na pytanie, czy praca w tej formie, w jakiej została wydana, jest celową, odpowiadam bez wahania, że tak. Oologia praktyczna, taka, jak ją pojął Tchorznicki, jest niewątpliwie potrzebna. Rzecz może być w różnych kierunkach uzupełniana, udoskonalana. W literaturze myśliwskiej jest to bądź co bądź zjawisko niezwykłe. Ta, zgrabnie wydana broszura, może się stać sympatycznym przewodnikiem już nie tylko ze względu na oologię i nidologię **), ale także ze względów ornitologicznych. Jakkolwiek bowiem nie ma w niej opisu ptaków, to jednak jest przejrzyście ułożona systematyka wedle rodzin i wedle najnowszego naszego stanu posiadania. Bardzo dodatnią stroną tego przewodnika jest ustalenie gatunków w myśl aktualnych wskazań naukowych. Tak np. pierwsza zaraz pozycja: **Orzeł przedni**, przypomni naszym myśliwym, że tak, a nie inaczej nazywa się, i jeden tylko jest gatunek naszego „króla ptaków", i że należy poniechać wszelkich innych nazw, jak orzeł skalny, orzeł królewski, orzeł zys itp., plątających się po rozmaitych, mniej lub więcej popularnych książkach i artykułach albo po starych ornitologiach. Wszystko to są synonimy jednego tylko gatunku, jedynego u nas przedstawiciela wielkich orłów szlachetnych. Tu się prosi nawiasowa uwaga, że ma on skoki upierzone

*) Por. moją recenzję: Pożyteczna broszura o Piżmaku, Ł. P. 1946, nr. 3.

) Oologia, wyraz złożony z greckiego oon (łac. ovum) jajo i greck. logos, słowo, nauka; nidologia z łac. **nidus, gniazdo.

aż po palce, gdy drugi wielki orzeł, większy nawet od niego, zwany **Bielikiem**, ma stopy gołe i należy do rasy nieszlachetnej.

Na szczególną uwagę zasługuje ustęp poświęcony dzikiej gęsi. Jeden gatunek, **Gęś gęgawa**, gnieździ się, jak wiadomo, na ziemiach polskich, co było powodem energicznych, długotrwałych, niestety dotąd bezskutecznych zabiegów o rozszerzenie czasu ochronnego. Teraz, kiedy do kilku stanowisk, jakie mieliśmy dawniej na południowym wschodzie (Tchorznicki wymienia jeden staw, ja, z własnego doświadczenia mogę dodać cztery inne), odzyskaliśmy odwieczne gniazdowe stanowiska gęsi na Pomorzu i Śląsku (na samym tylko jeziorze Milicz, gdzie w zeszłym roku filmował Puchalski gęś na jajach i wylęgłe gęsięta, liczono na wiosnę zeszłego roku gniazd około 60), — należy się chyba spodziewać, że dawny małopolski postulat będzie nareszcie zrozumiany i że czas ochronny dla gęsi będzie w oczekiwanym prawie łowieckim ustalony zgodnie z biologicznymi prawami tego ptaka. Gęś przylatuje do nas najpóźniej w marcu, a zwykle już w lutym pojawiają się poszczególne pary i rozpoczyna się gniazdowanie. W kwietniu gęś siedzi na jajach. Tymczasem projekt nowelizacji ustawy, który mam przed sobą, przewiduje ochronę gęsi dopiero od 16 maja (sic!), gdy dla pospolitej kaczki, przyjmuje się (słusznie zresztą) ochronę już od 1 marca. Wierzę, że jeżeli kto, to autor Oologii przyczyni się do korekty tego rażącego błędu.

Umieszczenie kormorana i łabędzia pomiędzy naszymi ptakami gniazdowymi, jest dalszym dowodem aktualności pracy Tchorznickiego.

Co do nazw łacińskich, które oczywiście każdy szanujący się myśliwy powinien znać przynajmniej z grubsza, choćby dla łatwiejszego orientowania się w literaturze obcojęzycznej, bardzo słusznie postąpił autor, umieszczając obok nazw przyjętych z uchwały międzynarodowej, często zawiłych i trudnych, nazwy dawne, utarte, milsze uchu myśliwskiemu. Tak np. nazwa Jastrzębia gołębiarza :**Astur palumbarius**, nie łatwo da się wyrugować w praktyce i zastąpić nową, naukowo-przyrodniczą, **Accipiter gentilis**. Także np. nazwa przyrodnicza naszego Bociana: **Ciconia ciconia** powinna w języku myśliwskim brzmieć po dawnemu **Ciconia alba**, w odróżnieniu od **Ciconia nigra** (Bocian czarny).

Wymienienie wśród sokołów Sokoła kobuza (**Falco subbuteo**) jako najospolitszego z naszych krajowych sokołów nie jest ścisłe. Najpospolitszym jest bowiem Sokół pustułka (**Falco tinnunculus**). Tamten kobuz, znany ze zwinności akrobata powietrzny (a w pojęciu myśliwskim szkodliwszy), nie jest tak częsty. Przekonałem się o tym i osobiście, tak z obserwacji w różnych okolicach, jak i z polowania z puhaczem. Kobuz zawsze jeden z pierwszych zjawia się do ataku i jest zajadły, ale nie stanowi to o jego częstości.

W oologii należało by podkreślić częstość Błotniaka stawowego (**Circus aeruginosus** albo **rufus**), w okolicach mianowicie obfitujących w wody. Chodzi bowiem o niszczenie gniazd tego niebezpiecznego szkodnika. Jest on w bilansie szkód bezwarunkowo szkodliwszy od gołębiarza, którego przewyższa liczebnością. Nad większymi stawami unosi się po całych dniach, zaglądając cierpliwie do każdego zaułka. Na wodzie nie szuka przecie myszy. Jest to nie tylko amator drobnej ptaszyny, ale także jajecznicy wszelkiego ptactwa. O jego obfitości niech świadczy fakt, że pewnego razu na stawie chodorowskim biło na mego puhacza 16 (szesnaście) błotniaków w ciągu jednej godziny. Ten cichy, wytrwały rabuś łatwy do poznania po czekoladowej barwie, zasługuje stanowczo na baczniejszą niż dotąd uwagę i konsekwentne ściganie.

Korekta drukarska nazw łacińskich nie jest dość drobiazgowa. Usterka to niestety, zbyt częsta u nas. Tak np. wspomniany właśnie **Circus aeruginosus** figuruje dwukrotnie jako **aeriginosus** (str. 20 i wykaz nazw); Pszczołojad, **Pernis apivorus** figuruje jako **spivorus** (str. 14). Na str. 15 dwa razy wydrukowano **falce** zamiast **falco** itd. Liczne i przykre błędy, być może także częściowo drukarskie, znajdują się w wykazie źródeł piśmienniczych na końcu pracy. Nie będę ich wymieniał. Zdeformowane są zupełnie niektóre tytuły. Zaznaczam, że w tym wykazie Tyzenhauz powinien być wymieniony jako osobna pozycja, nie tylko przy Taczanowskim. Wszakże to, jeśli chodzi o oologię, autor najważniejszy. W tym dobrze i pracowicie zresztą zestawionym spisie źródeł, braknie ważnej pozycji, jaką jest **Klucz Hoyera do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich** (Kraków 1910). Zawiera on miarodajne szczegóły o rozmieszczeniu gatunków. Ogromna większość danych nie uległa przedawnieniu.

Na koniec słówko o ortografii. Według obowiązujących przepisów ortograficznych **żuraw** pisze się przez **„u"**, a puchacz przez **„ch"**. Tchorznicki trzyma się w tych wypadkach starej pisowni: **żóraw** przez **„ó"** i **puhacz** przez **„h"**. Zupełnie mu się nie dziwię. Nowa pisownia przyniosła tyle niespodzianek, wzbudziła i wzbudza wciąż tyle zastrzeżeń, że odstępstwa od reguły długo jeszcze potrwają, a może się nawet utrzymają. Autorytet Polskiej Akademii Umiejętności, która jest matką nowej ortografii, nie ucierpi, jeżeli się zgłosi pewne uzasadnione poprawki. Wszak mamy w dziesiejszym słowniku ortograficznym takie oczywiste błędy jak np. słowo **flower** zamiast **flobert** (zgodnie z nazwiskiem wynalazcy, Floberta), albo **loftka** (zamiast **lotka**). Co do **żórawia**, Brückner (Słownik etymologiczny) już dawno wytykał pisownię przez **„u"**. A co do **puhacza**, jestem zdania, że wyraz ten nie ma nic wspólnego z **puchem (puszyć się, napuszyć)**, ale raczej z **puhaniem** (głosem, jaki ten ptak wydaje), czyli, że jest to wyraz dźwiękonaśladowczy. To samo znaczenie (od wydawanego głosu) ma obca (niemiecka) nazwa puhacza: **Uhu** lub **Buh** (w wymowie naszej brzmi to jak **„puh"**). Kto słyszał puhacza, zwłaszcza w porze godowej, wie, że głos jego brzmi jak **„u-huuu"**.

Reasumując stwierdzam, że praca Mniszka Tchorznickiego stanowi w naszej bibliografii łowieckiej pozycję dodatnią. Należy ona do tej kategorii, jakiej nam najwięcej brakuje, to jest do prac łowieckich, opartych na podstawach naukowo-przyrodniczych. Wtedy dopiero, gdy ten kierunek zacznie przeważać nad kierunkiem narratywnym, przyszłość naszego łowiectwa będzie zapewniona. Łowiectwo jest dyscypliną, jak rybactwo, leśnictwo, rolnictwo i musi, jak tamte, być traktowane nie w patosie, ale w rzeczywistości, jako gałąź gospodarstwa krajowego. A przecież ono jedno z pośród dyscyplin pokrewnych było i w słowie i w piśmie traktowane zbyt po dyletancku. Życzmy sobie kontynuowania prac tego rodzaju, jak Tchorznickiego Oologia. Niedociągnięcia są nieuniknione. Nie może się nimi zrażać ani autor, ani czytelnik. Tendencja do podniesienia poziomu naszego piśmiennictwa łowieckiego jest najlepszą gwarancją zrozumienia jego potrzeb.

Witołd Ziembicki.

We Wrocławiu 30 września 1947.

W sprawie zająca

Do artykułu „Zając", zamieszczonego w numerze 4 (947) „Łowca Polskiego", odważam się dorzucić kilka skromnych uwag.

W numerze 2/47 obiecała Redakcja „Łowca Polskiego" zamieszczać „monografie naszej najpospolitszej zwierzyny", opracowane przez kol. L. Rzyszczewskiego. Ponieważ w szeregach św. Huberta jest obecnie przeważna część nas, nowicjuszów, przeto tak bardzo pragnęliśmy krótkich, ale wszechstronnie wyczerpujących monografii.

Tymczasem kol. L. Rzyszczewski pisze: „Zając (Lepus timidus), jest to zwierz ogólnie tak dobrze znany, że nie ma potrzeby bliżej go opisywać". Tak! Dobrze znany, ale komu? Takim asom, jak Autorowi i jego przedwojennym kolegom, ale nie nam! A zając ma tyle charakterystycznych szczegółów, jak np. (że przytoczę tylko jeden) rzadko rozrzucone dłuższe, sztywniejsze włosy, co początkowo brałem za jego niedorozwój. Ponadto niektóre odmiany zająca uznane zostały nawet za oddzielne gatunki, jak np. Lepus medius Nilss, z licznymi dalszymi odmianami (podano ten gatunek także w kluczu Hoyera).

Znowu w innym miejscu przytoczonego artykułu, autor twierdzi, że „szukanie zajęcy w polu (tj. polowanie na „pomyka") należy uważać za zgubne i nieracjonalne z punktu widzenia hodowcy", ponieważ rzekomo czujne samce pcmykają poza zasięgiem strzału, a ofiarą padają przeważnie samice. Polując w towarzystwie starych wygów, słyszałem od nich podobne zdanie i interesując się tą kwestią, badałem tę sprawę i przyszedłem do przekonania, że to jest niewłaściwe twierdzenie. Zresztą pozwolę sobie przytoczyć tutaj opinię takiego autorytetu, jak prof. Gieysztor, który w uwadze do artykułu Z. Pawłowskiego z „Łowca" nr. 23—24/1938 pisze: „Rewelacją bezwątpienia jest orzeczenie wydane przez Instytut Łowiecki Niemieckiego Związku Łowieckiego w Wannsee, a uznające polowanie z podchodu za równie etyczne, jak polowanie z naganką". Wiadomość ta, podana następnie obszerniej przez prof. Gieysztora w „Łowcu Polskim" (nr. 26/1938) za tygodnikiem „Wild und Hund", wpłynąć powinna na zmianę poglądów polskiego świata łowieckiego na ten sposób polowania na zające.

Sprawa ma dla łowiectwa naszego niemałe znaczenie. Za „Łowcem Polskim" powtarzam, iż w badaniach porzedzających rezolucję Instytutu Łowieckiego, wzięło udział 1485 współpracowników, którzy byli na 7198 polowaniach z naganką i „na pomyka". W ciągu 4 miesięcy 1936/37 r. poddano badaniu 187.484 zajęcy, ubitych na polowaniach z podchodu i z naganka i wykazano, iż ogólny stosunek płci wynosił 1 : 1. W szczególności na polowaniach z naganką stosunek płci wynosił 49,4% samców i 50,6% samic, natomiast na polowaniach z podchodu 52% samców i 48% samic. Stąd konkluzja, że polowanie „na pomyka" jest nawet etyczniejsze od polowania z naganką, gdyż nie samice, jak dotąd sądzono, lecz samce przy tym sposobie polowania są częściej ubijane.

W drodze ankiety i przeprowadzonych obserwacyj ustalono także, że nie płeć, lecz inne czynniki, jak wiek, pogoda, choroba itp. wpływają na dłuższe dosiadywania zajęcy, co znakomicie z wynikiem badań się zgadza. I tak, dosiaduje zając młody i tych więcej się ubija, a zdaleka rusza starszy, doświadczeńszy, co jest korzystne, bo ten właśnie jest dla hodowli cenniejszy.

Rozstrzygnięcie to powinno być ostateczne i nie podlegać dyskusji wobec tak dużego materiału, jakim Instytut Łowiecki w Wannsee rozporządzał.

Ludwik Huczek.

Żywy pług leśny

Ciągle się słyszy i mówi o wielkich szkodach, wyrządzanych przez dziki w plonach rolnych. Odszkodowania płacone z tego tytułu są bezsprzecznie duże. Nie można jednak podchodzić do żadnego zagadnienia jednostronnie, a więc i w tym wypadku również nie powinniśmy traktować dzika jako stuprocentowego szkodnika. Trzeba zwrócić bowiem uwagę na niewidoczne nieraz i nie dające się w ścisłych liczbach określić korzyści, jakie ta zwierzyna przynosi. Postaram się takowe wyliczyć i podkreślić.

Dzik w pierwszym rzędzie jest zdecydowanym sprzymierzeńcem człowieka w walce ze szkodnikami leśnymi ze świata owadziego, a zwłaszcza z tak groźnymi wrogami lasów, jakiemi są paproch, cetyniak i sówka chojnówka, których poczwarki umiejscowiają się w leśnej ściółce, oraz z pędrakami chrabąszcza, które niszczą korzenie tysięcy młodych drzewek, wyrządzając dotkliwe straty również i w rolnictwie. Dzik, szukając pożywienia, „buchtuje", czyli ryje glebę i leżącą na niej ściółkę i pożera wszelkie napotkane tam żywe drobne stwory — larwy, poczwarki, myszy itp.

Oprócz wyżerania wymienionych wyżej szkodników, dzik spełnia przy tej okazji jeszcze jedną bardzo ważną funkcję, a mianowicie spulchnia glebę leśną. Dlatego też nazwałem go „żywym pługiem leśnym". Spulchniając ją, dzik podnosi jej wydajność i umożliwia przez to łatwiejsze zakorzenianie się samosiewnych drzew leśnych. Leśnicy stwierdzili niejednokrotnie, że na starych buchtowiskach dziczych pojawiał się obfity „nalot", czyli zbiorowiska młodziutkich drzewek. Naturalne odnowienie jest w lesie najbardziej pożądane, albowiem zapewnia zachowanie właściwych gatunków. Majestatyczne puszcze górskiej i wschodniej połaci naszego kraju odnawiają się właśnie w sposób naturalny. Dzik odgrywa wobec tego poważną rolę w gospodarce naturalnej lasu, w utrzymywaniu równowagi i trwałości nadzwyczaj skomplikowanego zbiorowiska roślin i zwierząt, jakiem jest las.

Jakiż wniosek możemy z tego wysnuć? Otóż taki, że dzik jest nieodzownym składnikiem społeczeństwa leśnego, mogącym występować w większych ilościach bez szkody dla otoczenia, a raczej z wyraźnym dlań pożytkiem. Oczywiście dbać musimy o to, aby naturalne środowisko — las — dostarczało dzikowi dostatecznej ilości pokarmu. Brak odpowiedniego pokarmu w lesie zmusza dziki do poszukiwania żeru na polach, co powoduje właśnie szkody, wyrządzone przez nie w plonach rolnych.

Dlaczegóż mamy wypowiadać dzikowi nieubłaganą wojnę? Czyż nie prościej ograniczyć jego szkody w rolnictwie przez dokarmianie dzika w porze najbardziej dla plonów rolnych niebezpiecznej? Zakładać należy w tym celu poletka ziemniaczane w głębi lasu, zaś po zużytkowaniu ich — podawać świeże zapasy karmy.

Bądźmy więc bezstronni i nie traktujmy dzika — ozdobę naszych kniej i cenne trofea myśliwskie — jako zdecydowanego szkodnika, lecz starajmy się przeciwstawiać częściowej jego szkodliwości — niezaprzeczony pożytek, przynoszony przez tę zwierzynę.

S. Z. Inżynier-rolnik.

SPROSTOWANIE.

W numerze 5 „Łowca Polskiego" w „Podziękowaniu Komitetu Odbudowy Siedziby P. Z. Ł." mylnie podano, iż ofiarę 6.000 zł. otrzymano „Od Kół Łowieckich w Kielcach". Ofiarę tę złożyło „Kółko Prawidłowego Myślistwa w Kielcach".

DO KOLEGÓW – AUTORÓW

Doświadczenia, nabyte w ciągu dwu lat wydawania „Łowca Polskiego" po wojnie, uwypukliło pewne momenty, uwzględnienie których okazuje się niezbędne dla zapewnienia organowi Związku charakteru pisma, mającego za zadanie należytą obsługę 25-tysięcznej rzeszy członków P. Z. Ł.

Zadania te sprowadzają się do następujących punktów głównych: 1) sprawozdania z działalności centralnych i terenowych organów Związku, 2) informacje o zarządzeniach władz w zakresie łowiectwa, 3) doniesienia o układzie stosunków łowiecko-myśliwskich w kraju, 4) artykuły fachowe z dziedziny łowiectwa i związanych z niem gałęzi wiedzy przyrodniczej, hodowlanej, strzeleckiej, 5) artykuły treści beletrystycznej, oparte o przeżycia i wspomnienia myśliwsko łowieckie.

Zadania powyższe podaliśmy w kolejności ich wagi właściwej, jaką powinny one posiadać w układzie treści organu urzędowego P. Z. Ł. Rzeczywistość jednak wykazała, że pod naciskiem opinii czytelników, porządek ten został odwrócony i na czoło wybiła się beletrystyka. Godząc się z tym stanem rzeczy, Redakcja uważa jednak za swój obowiązek dążyć do pewnego wyrównania tej naruszonej kolejności, i zapobieżenia przekształceniu „Łowca Polskiego" w miesięcznik literacki.

Posiadając w tece dużą ilość materiału zarówno beletrystycznego, jak fachowego, i pragnąc zużytkować go w sposób najpełniejszy, Redakcja zmuszona jest, przede wszystkim, ograniczyć wymiary poszczególnych prac. Licząc się z tem, że normalny zeszyt „Łowca Polskiego" posiadać będzie od 24 do 28 stron tekstu i przeznaczając na dział urzędowy i administracyjny $^1/_4$ objętości pisma, a więc stron 6—7, pozostałą liczbę stron Redakcja przeznacza na dwa dalsze działy, a więc na artykuły fachowe i beletrystyczne. Jeżeli na prace fachowe oddamy nawet ilość stron mniejszą, równą 8—9 stronom, to na beletrystykę pozostanie w każdym numerze stron 10—12.

Tych granic będziemy się starali ściśle przytrzymywać, a że zeszyt „Łowca Polskiego" nie może mieć charakteru monograficznego, zaś nie wolno nam uprzywilejowywać poszczególnych autorów, odwlekając ukazanie się prac innych, przeto zmuszeni jesteśmy postawić zasadę, iż żaden utwór nie może przekraczać 5 stron druku, czyli 10 stron maszynopisu o 30 wierszach i 50 znakach pisarskich w wierszu.

Prace większe, szczególnie ważne, będą musiały być rozciągnięte na dwa czy więcej zeszytów, reszta zaś będzie skracana według uznania Redakcji, lub też zwracana autorowi.

Przy sposobności wznawiamy prośbę, już parokrotnie wnoszoną:

1) aby nadsyłane artykuły były pisane na maszynie — rękopisów bowiem drukarnia nie przyjmuje — oraz na jednej stronie.

2) aby tekst drukowany był z interliniami, t. j. z odstępami pomiędzy wierszami, umożliwiającemi wprowadzenie poprawek redaktorskich, oraz z marginesami z boku do uwag dla drukarni.

Za artykuły umieszczone Redakcja uiszcza honorarium w wysokości 5 zł. za wiersz jednoszpaltowy. Prace fachowe, wymagające większego przedwstępnego opracowania, będą honorowane opłatą po 6 zł. za wiersz.

Korespondencje, sprawozdania, wzmianki itp. nie są opłacane.

REDAKCJA

Druk W. I. G. R. W. 685. – I. 48. 25.000. – B-43810.

MYŚLIWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Celem ożywienia i zaktualizowania strony ilustracyjnej „Łowca Polskiego”, Redakcja ogłasza fotograficzny konkurs myśliwski, specjalnie dla fotografów-amatorów.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej, sceny z polowań, charakterystyczne krajobrazy terenów łowieckich, psy myśliwskie w pracy, ciekawe pokoty i trofea łowieckie.

Zdjęcia powinny być ostre, wykonane na papierze błyszczącym, w formacie nie mniejszym, niż 9 X 12 cm.

Fotografie mogą być nadsyłane bądź seriami, bądź pojedyńczo i oznaczone jakimś godłem. Nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Jako nagrodę I-szą wyznaczamy dla serii, zawierającej najmniej 3 zdjęcia — 10.000 zł., dla fotografii pojedyńczych — 5.000 zł.; jako nagrodę II-ą — dla zdjęć seryjnych — 6.000 zł., dla zdjęć pojedyńczych — 3.000 zł.; jako nagrodę III-ą — dla zdjęć seryjnych — 4.000 zł., dla pojedyńczych — 2.000 zł.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dn. 1 kwietnia r. b. Nagrodzone fotografie będą zamieszczane w „Łowcu Polskim”, pozostałe — według uznania Redakcji. Sąd Konkursowy stanowić będzie Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego” oraz zaproszony do składu Sądu kol. Wł. Puchalski.

REDAKCJA.

SKŁAD KOMITETU REDAKCYJNEGO „ŁOWCA POLSKIEGO NA 1948 ROK

Przewodniczący: Redaktor prof. Gieysztor Józef.

Członkowie Komitetu z urzędu: Przewodniczący Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł.
Przewodniczący Komisji Głównej Propagandowej.

Członkowie z wyboru:

Kowalski Zbigniew, zastępca Redaktora—sprawy fachowo-łowieckie
Krzywoszewski Stefan — sprawy literacko-artystyczne
Skrzypek Józef — sprawy zrzeszeń łowieckich
Mniszek Tchorznicki Mieczysław — sprawy działalności P. Z. Ł. i jego organów
Śliwiński Andrzej — sprawy wydawnicze, ubezpieczeń i odszkodowań
Zapolski-Downar Henryk — sprawy strzelectwa myśliwskiego i balistyki
Klawe Zdzisław—sprawy hodowli i tresury psów
Zabłocki Tadeusz Zbigniew — sprawy amunicji i sprzętu myśliwskiego.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" W 1948 R.

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1948 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 1.000 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 600 zł. — otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty. Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczonych przez Łowczych Powiatowych. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać kol. Łowczych bez zwłoki.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w P. K. O. N I 1077 kwotę roczną 500 zł., bądź też w stosunku 50 zł. za jeden zeszyt.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 10.000 zł., za ¾ strony — 8.000 zł., za ½ strony — 6.000 zł., za ¼ strony — 4.000 zł., za ⅛ — 2.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 10 zł. za wyraz, grubym drukiem — po 20 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Wydawca — Polski Związek Łowiecki.

Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.